



# Rebecca Winters

*Młode wino*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Vincent Rolland sięgnął po ręcznik i wychodząc spod prysznicą w apartamencie londyńskiego hotelu, podjął ostateczną decyzję. Poleci do Paryża jeszcze dziś, zaraz po lunchu biznesowym. Miał zabrać swoje dzieci - parę bliźniąt - do rodzinnego majątku w St. Genes dopiero w weekend, ale nie mógł się już doczekać.

Dom bez nich był jak grób. Chociaż w ciągu roku szkolnego kontaktowali się telefonicznie i widywali, przeżywał ciężko tę długą rozłąkę. Monique i Paul nie spodziewali się jego przyjazdu przed piątkiem, ale miał ochotę sprawić im niespodziankę. Dzisiejszego wieczoru świętowali oboje uroczyste zakończenie roku szkolnego.

W trakcie golenia się usłyszał, że dzwoni telefon komórkowy. Najpewniej telefonowało któreś z dzieci. Wybiegł do pokoju i chwycił komórkę, zerkając na wyświetlacz. To ktoś z St. Genes. Oby tylko w domu nie działo się nic złego.

- Oui? - rzucił.
- Bonjour - Usłyszał głos gospodyni. Była chyba w dobrym nastroju.
- Bonjour! Etvige. Coś nie tak? Czy dziadek...
- Proszę się nie niepokoić. Pere Maurice wyszedł właśnie z Beauregardem na poranny spacer.

Vincent odetchnął z ulgą. Kiedy dzieci były poza domem, dziadek i ich pies Beauregard nie odstępowali się na krok.

- Dzwonił dyrektor banku w Paryżu, pan Gide. Prosił o możliwie szybki kontakt. Podaję numer.

Gide? Vincent nie rozmawiał z nim od ubiegłej jesieni, gdy zakładał swoim dzieciom konto. Zanotował numer.

- Merci, Etvige. Powiedz dziadkowi, że zadzwonię do niego z Paryża.

Wyłączył się i od razu wystukał numer dyrektora banku. Ten wyraźnie się ucieszył.

- Dziękuję, że oddzwania pan tak prędko.

- Prosił pan, żebym w razie potrzeby zadzwonił.

'- Czym mogę służyć?

- Chcę, żeby pan wiedział, że dwa dni temu pański syn wystawił czek na pokaźną sumę. Pomyślałem, że powinienem zadzwonić do pana i upewnić się, czy pan to akceptuje.

- Na jaką sumę opiewa czek?

- Osiem tysięcy siedemset euro. Na koncie nie zostanie nic.

Vincent odczuł cięń zawodu. Poruszyło go, że dzieci nie poczekały na niego i same zdecydowały się wydać te pieniądze.

- W porządku, dyrektorze. Obiecałem dzieciakom samochód, jeśli zdadzą dobrze maturę.

- Samochód? Bardzo przepraszam, ale czek wystawiony został na sklep z biżuterią. Dokładnie na... zakład jubilerski przy rue Vendome.

Vincentem zatrzęsło. Samo słowo „jubiler” było jak echo z najczarniejszego dnia w jego życiu.

- Proszę wstrzymać przelew, póki nie uzyskam dokładniejszych informacji.

- Oczywiście. Podam panu numer do zakładu.

Rolland zadzwonił tam natychmiast. Nie miał pojęcia, w czym rzecz. Jego latorośle zachowywały się dotąd rozsądnie.

- Bijoux Vendome. Czym możemy służyć?

- Bonjour, monsieur. Chciałbym rozmawiać z kierownikiem.

- Przy telefonie.

- Mówi Vincent Rolland.

- Witam, bardzo mi miło. Nie dalej jak wczoraj był u nas pański syn. Wybierał pierścionek dla kobiety, którą zamierza poślubić. Zależało mu na najwartościowszym z akwamarynowym oczkiem. Widać bardzo się zakochał...

- Mon Dieu - wyszeptał Vincent zboląłym tonem i mocno ścisnął telefon. Historia powtarzała się. Niedaleko pada jabłko od jabłoni...

- Hallie...

Hallie Linn wychodziła właśnie z Tatiego, paryskiego supermarketu, w którym pracowała, gdy usłyszała znajomy głos. Tuż przy niej zatrzymała się taksówka. Drzwi otworzyły się na oścież. Z tyłu siedziała Monique Rolland, młoda Francuzka. Zaprzyjaźniły się w ciągu ostatniego roku szkolnego.

- Co ty tu robisz?

- Czekam na ciebie. Hallie! Dziś są twoje urodziny. Trzeba to uczcić.

Urodziny? Kompletnie o tym zapomniała. Co więcej, pożegnała się już z Monique i jej bratem Paulem dwa dni temu. Miała więc pewność, że urodziny stanowią wyjątkowo pretekst, by jeszcze raz spotkać się we troje przed wakacjami. Niespodziewane pojawienie się Monique świadczyło o tym, że pozbawionej matki nastolatce jest ciężko i w głębi duszy nie pogodziła się z rozstaniem. Prawdę mówiąc, Hallie czuła się podobnie. Podczas pobytu w Paryżu, służąc jako siostra bezhabitowa w ramach międzynarodowego programu duszpasterskiego dominikanek, pokochała francuskie rodzeństwo jak rodzinę. Kolejne spotkanie czyniło jej wyjazd jeszcze trudniejszym. A wyjechać musiała - za dwa tygodnie miała wstąpić do klasztoru w San Diego w Kalifornii i złożyć śluby wieczyste.

- Skąd wiedzieliście, że obchodzę dziś urodziny? Zupełnie o tym zapomniałam.

- Pamiętasz naszą jednodniową wycieczkę do Anglii? Gdy przepływaliliśmy kanał La Manche, Paul zajrzał do twojego paszportu... Wsiadaj! Hamujemy ruch.

Hallie nie ruszyła się z miejsca.

- Powinnaś być teraz w szkole. Dobrze wiem, że macie pożegnalny wieczór .

- Wolę pobyć z tobą. Nie martw się. Dostałam specjalne pozwolenie. Mam wolne do ósmej. No, wsiadaj. Tracimy czas.

Zniecierpliwiony taksówkarz burknął coś pod nosem, co słysząc, Hallie wsiadła szybko do samochodu, choć

czuła, że nie powinna się zgodzić. Ledwie zatrzasnęła drzwi, kierowca wjechał tyłem w sznur pojazdów. Cudem uniknęli zderzenia.

- A właściwie dokąd jedziemy?

- Niespodzianka. - Monique uśmiechnęła się przekornie.

- Kolejna?

Tyle ich już było w ciągu minionych dziewięciu miesięcy, lecz do tej pory Monique nigdy nie zajeżdżała po Hallie taksówką. Szły pieszo albo wsiadały do metra czy autobusu.

- Czy to daleko?

- Poczekaj, zaraz się przekonasz. - Dziewczyną postanowiła być tajemnicza.

- Spójrz mi w oczy. Czy aby na pewno dyrektorka zezwoliła ci na to wyjście? Przysięgnij...

Monique pokręciła głową, najwyraźniej uznając obawy przyjaciółki za czysty nonsens.

- Tak też myślałam - wymruczała Hallie. - Łamiesz regulamin, a w dodatku jeśli to będzie daleki kurs, nadzarpniesz swój budżet. Na następnym skrzyżowaniu wysiadam.

- • Nie! - zaprotestowała Monique. - Chcesz wszystko zepsuć?

Ton jej głosu zdradził, że młodzi Rollandowie nie tylko zorganizowali coś specjalnego, ale również planowali to od dłuższego czasu.

- Nie, naprawdę, ale bardzo bym też nie chciała, żeby któreś z was miało kłopoty. To ostatni dzień szkoły.

- Zdałam egzaminy śpiewająco. Poza tym dyrektorka i tak nie ośmieliłaby się nagadać na mnie tacie.

- A to dlaczego?

- Kiedy przyjeżdża do Paryża, nigdy nie zapomina przywieźć jej paru buteleczek naszego najlepszego wina. - Dziewczyna uniosła ciemne brwi. - Pani dyrektor nie zechce, żeby się to skończyło. Zwłaszcza wizyty ojca. Do tej pory opierał się jej wdziękowi, ale jeszcze nie zrezygnowała... Natrętne babsko.

Cyniczny komentarz w ustach młodziutkiej, ślicznej Francuzki zabolął Hallie.

- Nie rób takich oczu - stwierdziła ironicznie Monique. - Mówiłam ci przecież, że kobiety lgną do naszego ojca jak pszczołki do miodu. Nie tylko dlatego, że ma kasę.

Znalazły się tymczasem na przedmieściach Paryża, w jednej z najzamożniejszych dzielnic. Taksówka przejechała pełną sklepów rue de Passy, skręciła w wąską uliczkę, aż w końcu zatrzymała się przed pięknym secesyjnym budynkiem. Na zamieszkanie w tak eleganckim miejscu mógł sobie pozwolić jedynie ktoś bardzo majątny, taki jak ojciec Monique. Dziewczyna zapłaciła za kurs, po czym obie weszły do reprezentacyjnego holu i korzystając ze znanego Monique kodu, ściągnęły windę. Wjechały na drugie piętro. Drzwi rozsunęły się i oczom Hallie ukazał się wytworny korytarz apartamentu. Piękne pokoje umeblowane były głównie antykami, lecz dzięki licznym nowoczesnym akcentom panował w nich sympatyczny klimat.

Monique otworzyła stylowe drzwi prowadzące na taras i uśmiechnęła się do Hallie.

- Chodź, popatrz sobie na Lasek Buloński.

Paryż wiosną. Widok był wspaniały, lecz Hallie nie była w stanie go podziwiać, strapiona myślą, że nie powinna zajmować czasu młodym Rollandom.

- Gzy wasz ojciec o tym wie?

- G la la! Tato! Jeśli musisz koniecznie wiedzieć, jest teraz w Londynie w interesach i przyjedzie po nas nie wcześniej niż jutro po południu. Za jego pozwoleniem skorzystamy z tego mieszkania na specjalne okazje. Twoje dwudzieste piąte urodziny są właśnie taką okazją.

Hallie nie poznała Vincenta Rollanda osobiście, lecz w głębi duszy szczerze go podziwiała. Był samotny, a wychował dwójkę swoich dzieci wspaniale. Nie palili papierosów, nie brali narkotyków, nie nadużywały alkoholu. Oboje uczyli się świetnie, byli bystrzy i pełni uroku. Hallie wydawali się wprost niezwykli. Ich ojciec w zamian za trudy wychowania zasługiwał na absolutną lojalność.

Nie rozumiała tylko jednego - dlaczego wysłał ich do szkół z internatem. Jak znosił długą rozłąkę? Dzieci uwielbiały go. Wiedziała, że żyły oczekiwaniem na jego odwiedziny i telefony.

- Jest mi głupio, że z mojego powodu wykorzystujecie wspaniałość ojca.

- Niczego nie wykorzystujemy! Już ci mówiłam - zanadto się o nas martwisz. Pobędziemy tu tylko godzinę. Bardzo cię proszę, nie bądź... jak się to mówi po angielsku, bo zapomniałam?

- Zręda. To zresztą przestarzałe określenie. Teraz się mówi „sztywniaczka”.



Obie zaczęły się śmiać. Z pozoru zupełnie do siebie nie pasowały: i z urody, i z charakteru. Hallie wystarczały najtańsza bluzka i niemodna spódnica, byle ciuch, jaki dało się wyszperać w koszach z odzieżą wystawionych w Tatim, Monique natomiast poza szkołą nosiła zawsze markowe ubrania i dbała o fryzurę.

- Witam panie.

Paul, bliźniaczy brat Monique, pojawił się nagle na tarasie i ucałował je serdecznie w policzki. Był wysoki, szczupły i urodziwy, jak jego siostra. Za osiem, dziesięć lat powinien być bardzo przystojnym mężczyzną.

I on, i Monique czuli się w tym mieszkaniu jak w domu. Być może Hallie była zbyt ostrożna, ale wiedziała, że oboje chodzili do bardzo ekskluzywnych prywatnych szkół i nie chciała, by mieli przez nią kłopoty. Byłoby z jej strony bardzo nieładnie, gdyby nadszarpnęła im opinię.

- Całe szczęście, że już przyjechałeś - powiedziała Monique. - Hallie uważa, że nie powinniśmy tu być. Gotowa jest dać rękę...

- Nogo! - skorygowała ze śmiechem Hallie. - Ale to nie jest najmodniejsze określenie. Chyba kupię ci słownik idiomów. Tyle że nim zapamiętasz te najczęściej używane, zdążą wyjść z użycia.

Paul roześmiał się.

- Jesteś tutaj i nie puścimy cię, póki nie wzniesiemy urodzinowego toastu. Chodźcie!

Nalał złotawego wina z firmowej butelki winnicy Rollandów i uniósł swój kieliszek.

- Twoje zdrowie, Hallie. Dziękuję ci za ten niezapomniany rok. Wszystkiego najlepszego!

Hallie nie piła alkoholu, ale umoczyła usta w winie, nie chcąc sprawić przykrości młodym Rollandom. Zorganizowali tę uroczystość na jej cześć, zadali sobie tyle trudu...

Przed samym wyjazdem z Paryża zamierzała napisać do nich pożegnalny list i życzyć im obojgu szczęścia. Czemu więc nie miałyby się cieszyć tą niespodziewaną okazją, dzięki której jeszcze raz mogli cieszyć się przyjaźnią?

Monique wyszła na moment z pokoju i wróciła z kolorową paczuszką, którą zapewne przywiózł Paul. Hallie odstawiła kieliszek i odwinęła papier. Zobaczyła piękną apaszkę w kawoworkremowy wzór.

- Będzie pasowała do twoich brązowych spódnic - ucieszyła się Monique. - No, przymierz.

Wzruszona Hallie zawiązała apaszkę na szyi, ale miała wyrzuty sumienia.

- Nie powinnaś się wykosztowywać.

- Podarowałabym ci wiele innych rzeczy, ale wiem, że byś ich nie przyjęła. Ponoś przynajmniej to aż do końca swojej pracy w Tatim.

- Zachowam na zawsze w pamięci ten dzień— powiedziała Hallie, uznając, że nie pora się sprzeciwić. Postanowiła jednak odesłać prezent razem z listem pożegnalnym. Monique nie powinna była wydawać pieniędzy na podarunki dla niej.

Francuzeczka przyjrzała się jej z upodobaniem.

- Super. Pasuje do tej białej bluzki, którą nosisz w sklepie.

- Do innych też będzie pasować.

- Wiem. Chodzisz wyłącznie w białych bluzkach.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Hallie przeżyło dojmujące odczucie straty. Miała nie przywiązywać się do konkretnych osób, a jednak tak się działo. Najpierw w San Diego, gdzie przed wyjazdem do Francji dzieliła mieszkanie z Gaby.

Gaby, owdowiała prawniczka, wyszła potem za mąż za Maksa Caldera, byłego agenta CIA. Mieli już dziecko, dziewczynkę, którą Hallie znała tylko ze zdjęć. Była jej imienniczką.

- A teraz, jeśli pozwolicie, wyjdę na kwadransik - oświadczyła Monique.

Hallie zerknęła na nią zaskoczona.

- Dopiero co przyjechałyśmy. Gdzie cię goni?

- Chce zdążyć przed zamknięciem do ulubionego sklepiku w okolicy - odparł zamiast siostry Paul z zagadkowym uśmiechem.

- W porządku.

Gdy Monique wyszła, Hallie zwróciła się do Paula.

- Oboje jesteście dzisiaj bardzo tajemniczy.

Chłopiec splótł palce.

- To prawda, ale to dlatego, że chciałem pobyc z tobą sam na sam.

-Dlaczego?

- Żeby zrobić coś, na co czekam od dawna.

- To znaczy co?

- To. - Prędko ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta. - Zrobił to tak niespodziewanie, że uznała to za wygłup. Paul lubił żartować.

- Rozumiem! Wstępuję do klasztoru, więc to ma być

w moim życiu ostatni pocałunek mężczyzny. - Roześmiała się. - Naprawdę nigdy nie zapomnę tych urodzin.

- Czekałem na to od dawna - powiedział poważnie Paul. - A teraz zamknij oczy. Chcę ci dać coś jeszcze.

- Dziękuję, wystarczy - przestrzegła, ale nie usłuchał. Ujął lekko jej lewą dłoń. Poczuła na palcu chłodny metal. Otworzyła oczy i uśmiech zamarł na jej ustach. Na palcu tkwił złoty pierścionek z akwamarynowym oczkiem, tak piękny, że Hallie zaniemówiła. Jeśli nawet była to imitacja, pierścionek musiał kosztować bardzo dużo. Więcej, niż mógł wydać dla zabawy ktoś nawet tak zamożny jak Paul. Jej życiowe plany były mu znane, a zatem... O co mu chodziło? Chciała zapytać, lecz zmroził ją wyraz rozgnionych oczu chłopca.

- Wszystkiego najlepszego, moja piękna.

Hallie zamruwała. Paul nie żartował. Czuła, że drżał. Nagle prysnął nastrój wesołej fanfaronady, który tak lubiła w ich znajomości.

Od jak dawna to trwało? O Boże! Utrzymując z rodzeństwem Rollandów serdeczne stosunki i traktując tę więź jako element posługi duszpasterskiej przed wstąpieniem do klasztoru, Hallie nie uświadomiła sobie, że Paul się w niej durzy. Może i spostrzegła jakieś oznaki oczarowania, ale nie odczytała ich właściwie.

- To piękna biżuteria, przyznaję, ale będziesz musiał ją zwrócić.

- Nie mów bzdur. - Chwycił ją mocno za rękę. - Jeśli nawet nie będziesz nosiła tego pierścionka, chcę, żeby ci o mnie przypominał.

- Nie mogę się na to zgodzić. Paul, wiesz dobrze...

Przedmioty nie mają dla mnie znaczenia. Kiedy ktoś wstępuje do klasztoru, nie bierze ze sobą nic.

Oczy Paula zabłyśły podejrzenie jasno.

- Liczę na to, że nie wstąpisz do zakonu. Uwielbiam cię, Hallie - zawołał z uniesieniem zakochanego nastolatka. - Zostanę w Paryżu jak długo trzeba, żeby cię namówić, abyś pojechała ze mną do St. Genes, do naszego domu. Nie masz powołania do życia zakonnego! Marzę, że kiedyś zostaniesz moją żoną. - Przyciągnął ją do siebie z niespodziewaną siłą i pocałował namiętnie, jak dojrzały mężczyzna.

Nie mieściło się jej to w głowie.

- Paul! - Usiłowała go odepchnąć, lecz był silny, bardzo silny. Boże, co robić?! Modliła się, by umieć rozwiązać tę sytuację - odsunąć chłopca od siebie, a zarazem nie urazić jego dumy.

- Na miłość boską, co tu się dzieje?! - W ciszę wdarł się nagle męski, głęboki głos.

Paul, cały w pasach, odskoczył w tył. Hallie tymczasem była tak oszołomiona uczuciem Paula - uczuciem, z którym krył się aż do dziś - że zareagowała wolniej. Do tej pory myślała o nim tak, jak myśli się o młodszym bracie.

- Tato? Sądziliśmy, że jesteś w Londynie - wybąkał podminowany i zawstydzony chłopiec.

- Oczywiście - odparł cierpko ojciec. - A ja żywiłem naiwne przekonanie, że moje dzieci zechcą zjeść dziś ze mną uroczystą kolację po maturze. Okazuje się jednak, że miałeś ochotę na znacznie mocniejsze wrażenia. Paul, jak mogłeś?

Kwaśny ton Vincenta Rollanda nie pozostawiał złudzeń. Ojciec wszedł do mieszkania, przyłapał swego osiemnastolatka na całowaniu się z obcą kobietą, a na stole zobaczył butelkę wina i kieliszki.

Dowody były tak jednoznaczne, że Hallie aż pokiwała głową. Paul znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, i nic dziwnego. Powinna była zawierzyć intuicji. Dzieci Vincenta Rollanda nie miały prawa opuszczać terenu szkoły ani zabierać jej do mieszkania ojca. Nie przyszłoby jej nigdy do głowy, że ów człowiek przyjedzie z Anglii i pojawi się dokładnie w chwili, gdy jego syn uznał za stosowne wyjawić jej swoje uczucia. Podniosła oczy. Rolland taksował ją złym wzrokiem.

Młodzi Rollandowie pokazywali jej ojca na zdjęciach, ale ujęcia fotograficzne nie oddawały jego niepokojącej zmysłowości. Do tej pory nie uważała za możliwe, by gdzieś istniał mężczyzna bardziej pociągający od męża, którego straciła przed dwoma laty w katastrofie lotniczej. Myliła się jednak.

Męskie zainteresowanie towarzyszyło jej od dziewczęcych lat i zdażyła do niego przywyknąć. Jednakże ten mężczyzna patrzył na nią tak, jakby fizyczne wrażenia były sprawą drugorzędną. Poczowała się niepewnie. Miała na sobie byle jaką białą bluzkę i brązową spódnice. Na tym tle markowa apaszka musiała wyglądać wyjątkowo nienaturalnie.

Rolland wszedł głębiej do pokoju. W jasnoniebieskiej koszuli i obcisłych dżinsach wydał się Hallie tak męski, że aż zadrżała.

- No, synku. Nie mam pretensji o wino, wybrałeś

świetnie, ale powiedz mi łaskawie, dlaczego dziś. Mia-  
łeś zdaje się świętować zakończenie roku szkolnego ze  
swoją klasą...

Paul odchrząknął.

- Urodziny Hallie są o wiele ważniejsze niż oficjal-  
na impreza w gronie kolegów. Tato, pozwól, że przed-  
stawię ci pannę Linn. Poznaliśmy się jesienią.

Ze ściagniętą, pociemniałą twarzą Rolland popatrzył  
w twarz Hallie, opuścił wzrok z głowy na piersi, aż  
w końcu utkwiał spojrzenie w błyszczącym na jej palcu  
pierścionku.

- Panna Linn - wymruczał lodowato, niemal  
obraźliwie, tak jakby z najwyższym wysiłkiem znosił  
w ogóle jej obecność.

Hallie zmieszała się. Takiej graniczącej z odrazą nie-  
chęci nie mogło z całą pewnością wywołać nawet to, że  
Rolland zobaczył, jak jego syn ją całuje. Postanowiła  
załagodzić sytuację.

- Miło mi - powiedziała. - Pańskie dzieci tak pana  
chwalą, że cieszę się, iż wreszcie mam okazję osobiście  
pana poznać.

- Tato... Czy moglibyśmy przez moment porozma-  
wiać tylko we dwóch? Przepraszam, Hallie...

- Nie, nie moglibyśmy. - Widać było, że Vincen-  
ta rozsadza z trudem tłumiona furia. Nie spuszczał oczu  
z pierścionka. - Skoro panna Linn jest dla ciebie kimś  
tak ważnym, nie widzę powodu, by wykluczać ją z tej  
rozmowy.

- To prawda, kocham Hallie - przyznał chłopiec.  
- Jest dla mnie wszystkim. Zamierzam się z nią ożenić.

Hallie aż się wzdrygnęła. Była od Paula starsza, obarczona tyloma doświadczeniami... Ten chłopak naprawdę stracił głowę!

W twarzy Vincenta Rollanda drgnął mięsień.

- A to ciekawe. Bardzo interesujące. Teraz pojmuję, dlaczego panna Linn nosi taką biżuterię. Wyczyściłeś swoje konto do zera.

Hallie jęknęła cicho. Paul demonstrował klasyczne maniery bogatego młodego mężczyzny. Zadurzył się i popełnił bardzo głupi, w dodatku kosztowny, błąd.

- Będę... - zwróciła się do niego - będę zawsze pamiętała, że pragnąłeś ofiarować mi ten pierścionek, ale znasz powody, dla których w żadnym wypadku nie mogę go przyjąć.

Chciała chronić jego wrażliwość, ale posunął się za daleko i musiał się wreszcie ocknąć. Bez wahania ściągnęła pierścionek z palca i położyła na stole.

Twarz Paula miała barwę popiołu.

- Za późno, panno Linn. Proszę mi tu nie pajacować i nie próbować wmawiać, że nie zamierzała go pani zatrzymać.

Chłopiec rzucił się w stronę ojca.

- Nie rozumiesz! Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

- Naturalnie, że wyjaśnisz - warknął ojciec. - Powiesz mi też, ile razy od jesieni przyprowadzałaś tę... tę panią do mego mieszkania.

- Aż do dziś nigdy tu nie byłam - powiedziała cicho Hallie. Nie zależało jej na obronie własnej osoby. Drażnił ją jedynie i niepokoił niepohamowany gniew Rol-



landa. Miał prawo być zdenerwowany, ale przebrał miarę. Upokarzanie syna w jej obecności przynieść mogło więcej zła niż dobra.

- Oczywiście, oczywiście. — Rolland uśmiechnął się drwiąco. - Nie byłaś tutaj i, naturalnie, nie masz pojęcia, ile jest wart ten kamyczek. Ciekawe, co jeszcze udało ci się wyłudzić od mego syna.

Hallie spojrzała Vincentowi prosto w oczy.

- Bardzo chętnie o tym porozmawiam, ale uważam, że najpierw powinien pan pomówić z synem.

Uśmiechnął się lodowato.

- Nie interesuje mnie pani zdanie, panno Linn. Im dłużej tego wszystkiego słucham, tym bardziej się upewniam, że sprawa pierścionka jest jedynie wstępem do perfidnego planu. Kobieta o pani urodzie mogłaby wyłudzić od takiego dzieciaka wszystko, o czym dusza zamarzy. Bezczelna cwaniara!

- Chwila! - krzyknął Paul. - Nie masz prawa odzywać się do Hallie w taki sposób.

- Dość! - przerwał ojciec. — Masz mnie za kompletnego idiotę? Nie będziesz mi to wrzeszczał i wymądrzał się na temat jakichś tam praw! To ty straciłeś wszelkie prawa, bo zawiodłeś moje zaufanie.

Nagle pojawiła się Monique.

- Jestem już! - zawołała z korytarza, - Paul, twój czas dobiegł końca. Ostrzegam uczciwie na wypadek, gdybym weszła wam w paradę.

Słowa Monique stały się przypieczeniem tego niewiarygodnego splotu nieporozumień. Ta mała szelma podpuściła brata i ukartowała z nim wszystko tak,

by mogli побыć z Hallie sam na sam. Dopiero teraz dotarło to do Hallie z całą oczywistością.

Nie potrafiła pojąć, skąd tym dzieciakom przyszło do głowy, że mogłaby żywić jakieś romantyczne uczucia względem o tyle młodszego chłopca. Spędzili we troje całe miesiące, a mimo to dwójka nastolatków nie przyjęła do wiadomości ani jej celów, ani obranej w życiu drogi. Ot, niewinni czarodzieje! Wierzyli w to, w co chcieli wierzyć.

Z ich opowiadań wynikało, że nie znali swojej matki. Umarła przy porodzie. Odseparowani od ojca - choćby nie wiem jak bliski kontakt starał się z nimi utrzymać - przyłgnęli sercem do niej, do obcej. I oto, co z tego wynikło!

- No, proszę - zadrwił Rolland - moja zakłamaną córunia wraca do miejsca występku obładowana nieprzyzwoitą ilością ciuchów.

Monique weszła do pokoju i stanęła jak wryta.

- Tato - wybąkała. - Myślałam, że będziesz dopiero jutro.

- Jasne - przytaknął ojciec. - Gdybym się nie zjawił, ta obrzydliwa schadzka pozostałaby waszą słodką tajemnicą. Co to ma znaczyć? - wybuchnął. - Od dziesięciu miesięcy niejaka panna Linn ma carte blanche na korzystanie z dóbr materialnych moich dzieci. Wygodnie wam było zapomnieć, że pieniążki pochodzą od taty, co? Dziwię się, że w ogóle zostały ci jakieś drobne. - Wyrwał Monique spod pachy pudełko i otworzył je. Wypadła z niego czerwona koktajlowa sukienka.

- Czy to przypadkiem nie kolejna łapówka dla tej zabiedzanej paniusi?

Hallie nie sądziła, że w skromnej bluzce i spódnicy prezentuje się aż tak mizernie.

- Ładnie się dzięki wam obłowi. Ho, ho... Markowa apaszka, sukienka od Givenchy'ego i pierścionek za dziewięć tysięcy euro.

Dziewięć tysięcy euro... Hallie spojrzała na Rollanda z obłędem w oczach.

- Niezły zarobek jak na jeden dzień pracy, panno Linn - wycedził. Zauważyła, że aż zbiełały mu wargi.

- Tato, tatusiu - szepnęła Monique ze łzami w oczach. - Co się dzieje? Ty nic nie wiesz. Pojąłeś wszystko opacznie.

Rolland wyprostował się.

- Wygląda na to, że na moją córkę, podobnie jak na syna, padł dur. Zostaliście wyprowadzeni w pole, oszukani...

Odetchnął ciężko.

- Przez Hallie?! Tato! Ależ skąd! - Monique tupnęła nogą jak zwykle, gdy była pewna swego. - Zrobiliśmy jej niespodziankę na urodziny. O niczym nie wiedziała. Prawdę mówiąc, tak się martwiła, że narobimy sobie kłopotów, że mało brakowało, a w. ogóle nie wsiadłaby ze mną do taksówki.

- Ale jakoś dała się namówić - zadrwił ojciec. Dziewczyno, obudź się. Jeszcze przed chwilą panna Linn miała na palcu majątek i dziękowała twemu bratu w taki sposób, że i mądrzejszy od niego zawodnik padłby płackiem.

Reakcja Rollanda nie pasowała zupełnie do człowieka, którego dzieci dosłownie wielbiły. Do kogoś, kto odniósł materialny sukces i był dla swej rodziny postacią numer jeden. Ten nie dający sobie nic wytłumaczyć satrapa nie przystawał do wyobrażeń Hallie.

- Czy nie rozumiesz - prawili dalej - że zrobiła z was kompletnych durniów, co mnie, waszemu ojcu, każe zwątpić w sens i efekt pracy, jaką włożyłem w wasze wychowanie?

W jego głosie zabrzmiała rozpacz.

- Zejdziecie teraz oboje na ulicę, złapiecie taksówkę i wróćcie do szkół. Wpadnę potem do was, najpierw jednak rozmówię się z panną Linn.

Oczy Paula wypełniały takie cierpienie i gorycz, że Hallie aż się złękła. Więż między nim a ojcem została nadszarpięta. Reakcja Paula była groźniejsza niż gniew jego ojca. Chłopiec był wrażliwy, a został ugodzony w samo serce i poniżony w przełomowym momencie swego życia. Wybaczenie ojcu mogło zabrać dużo czasu.

Wstrzymała oddech, gdy Paul jak burza wypadł z pokoju. Monique popatrzyła na ojca jak na kogoś nieznanego, szepnęła „przepraszam” i wybiegła za bratem.

- Błagam - powiedziała Hallie, słysząc, że winda zjeżdża na dół. - Niech pan nie pozwoli, by wyszli w takim stanie. Proszę pobiec za nimi i przeprosić ich, nim dojdzie do nieodwracalnej szkody.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W oczach Rollanda pojawił się zły błysk.

- Nieco późno mówić o szkodzie, zwłaszcza jeśli jest pani w ciąży. Paul jednak na pewno jeszcze nic o tym nie wie, inaczej nie wyszedłby stąd tak łatwo.

No. no.

- Czy pańskie dzieci nie mówiły panu o mnie? Nic wspominały ani razu?

- Nie miałem pojęcia o pani istnieniu. Ale teraz już wiem. ten smarkacz zadurzył się na śmierć. Widziałem, jak panią całuje... Ostrzegam panią, panno Linn... Żadna kobieta nie wmanewruje mego syna w parodię małżeństwa i nic zawiąże mu pętli na szyi na resztę życia. Jeśli jest pani w ciąży, nic pozwolę na szantaż. Jeszcze przed świtem odleci pani samolotem tam, skąd pani pochodzi. Zapłacę dobrze. Zapewniam, że suma zaspokoi największe żądze.

Bardzo wątpliwe, myślała Hallie, żeby dzieci Rollandu znały go takiego. Być może był bogatszy, niż sądziła. Oczywiście, chciał mieć pewność, że nic kręca się wokół nich hieny, łowcy majątku. A jednak przypuszczenie, że zaszła w ciążę i zamierzała manipulować jego synem, było oburzające.

- Nie jestem w ciąży - zapewniła twardo. - Gdybym jednak spodziewała się dziecka, to czy mam rozumieć, że przekupiłby mnie pan, bylebym tylko zniknęła? Postąpiłby pan tak, mając świadomość, że noszę pod sercem pańskiego wnuczka? Odebrałby pan Paulowi prawo do miłości i wychowania rodzzonego dziecka?

Z piersi Rollanda wyrwał się chrapliwy śmiech.

- A kto powiedział, że to jego własne?

W czasie kilkumiesięcznej znajomości z młodymi Rollandami Hallie zbudowała sobie w głębi duszy świetlany obraz ich ojca, lecz w tym momencie podziw i szacunek przysły.

- Proszę się pohamować, bo może pan powiedzieć coś, czego będzie pan żałował do końca życia. Paul zachował się dziś zaskakująco. Ja również się tego po nim nie spodziewałam, ale nieważne. Ważne jest to, że nie zdobył się pan na wysłuchanie syna i boję się, iż nadszarpnie to więź między wami. Prawda jest taka, że nie miałam pojęcia, że Paul kocha się we mnie. Z chłopcami czasem tak bywa. Durzą się w kimś starszym od siebie. Tak czy owak, zrozumiałam, co się stało, na moment przed pańskim pojawieniem się w domu.

- To nie jest zwykłe zadurzenie, panno Linn - odparł martwo Rolland i raptem jakby się postarzał. - Paul ofiarował pani pierścionek, a to stawia całą sprawę w innym świetle. Imprezki takie jak ta dzisiejsza mącą chłopcu w głowie. Zwłaszcza gdy drapieżna kobieta o pani urodzie ofiarowuje takiemu młokosowi je ne sais quoi.

- Je ne sais quoi? - powtórzyła Hallie, zdejmując

z szyi apaszkę i kładąc ją obok pierścionka. - „Małe co nieco”? Coś ekstra? A niby co? Pańska córka posługuje się tym określeniem bez przerwy.

Rollandowi pociemniała twarz. Podszedł bliżej. Był tak pociągający, że Hallie poczuła się nieswojo.

- Kim pani jest? Co pani robi w Paryżu? W jakich okolicznościach moje dzieci zawarły z panią znajomość? - pytał, nie czekając na odpowiedź.

- Jestem ich przyjaciółką.

- I ja mam w to uwierzyć?

- Tak. Podobnie jak ja wierzę, że cokolwiek pan mi powie, będzie to absolutna prawda. Monique jest do pana pod wieloma względami podobna. Powinien pan jednak uważać, co pan w jej obecności mówi, gdyż udziela się jej pański cynizm. Była pewna, że dyrektorka szkoły nie naskarzy panu na nią, gdyż, cytuję dokładnie pańską córkę: „ta baba jest na tatę napalona”. Proszę wybaczyć, że powiem wprost, ale żadne „małe co nieco” z mojej strony nie wchodzi w grę. I jeszcze jedno. Nie interesuje mnie majątek. Może pan sobie być bogaty jak król Midas. Pański syn nie pracował ostatnio w winnicy, tylko uczył się, toteż pozostawianie do dyspozycji osiemnastolatka dziewięciu tysięcy euro jest do prawdy niemądre, niezależnie od tego, jak godny zaufania wydawał się panu do tej pory.

- Skończyłaś? - przerwał drwiąco.

- Jeszcze nie. Powinien pan być wdzięczny losowi za to, że Paul postanowił zasmakować wolności ze mną, gdyż kocham go, jak kochałabym młodszego brata. Zależy mi na jego dobru. On sobie tego jeszcze nie uświa-

darnią, lecz jego ewentualny związek ze mną jest wyłącznie wytworem młodzieńczych fantazji. Jest młodziutki, a teraz rozbity. Proszę mu dać kilka lat, a wszystko sobie właściwie poustawia. Chciałby być kimś takim jak pan. Marzy o tym. Czy pan o tym wie? Odnieść sukces, podobać się kobietom... Za dziesięć lat, wszystko na to wskazuje, będzie wspaniałym partnerem i mężem, ale na razie męskość dopiero się w nim budzi i kształtuje. Ośmieszył go pan w oczach kobiety. To dla niego bardzo dotkliwy cios, zwłaszcza że nie chciał pan z nim nawet porozmawiać. Dlaczego? Nie rozumiem. Wychował pan swoje dzieci wspaniale. Naprawdę tak uważam. Tylko dlatego nie dałam panu w twarz, choć, przyznaję, świerzbiała mnie ręka.

Zapadła cisza. Rolland patrzył na Hallie przez dłuższą chwilę.

- Może zechciałabyś odpowiedzieć na moje pytania, nim pójdę na policję.

Na policję? Posunąłby się aż do tego?

- Paul już powiedział: nazywam się Hallie Linn. Dziś skończyłam dwadzieścia pięć lat, nie osiemnaście. Gdyby nie pańskie dzieci, w ogóle zapomniałabym, że to dzień moich urodzin. Poznaliśmy się w Tatim, gdzie pracuję jako ekspedientka. Wybierały prezenty na pana urodziny, ale nie chciały szastać pieniędzmi. Poprosiłam, żeby mi pana opisały, a potem zaproponowałam portfel i rękawiczki.

Błysek w oczach świadczył o tym, że Rolland zapamiętał te podarunki.

- Były zaskoczone, że w sklepie pracuje Amerykan-



ka i bardzo chciały wypróbować w rozmowie ze mną swój angielski. Prosiły, żebym poprawiała błędy. Oczarowały mnie ich zapał i uwielbienie dla pana. Ciągłe słyszałam: „tato to, tato tamto”.

Przed wyjściem zapytały, czy mogłyby przyjść w tygodniu i znów poćwiczyć ze mną angielski. Powiedziałam, że oczywiście, ale tak naprawdę nie spodziewałam się ich więcej zobaczyć. Moi nowi znajomi przyszli po dwóch dniach. Umówiliśmy się, że godzinę przeznaczoną na lunch spędzę z nimi. Jak mogłabym odmówić? Poszliśmy więc na plac przed katedrą Notre Dame i tam urządziliśmy sobie piknik. Monique i Paul starali się mówić po angielsku jak najpoprawniej. Opowiedzieli mi o *St. Genes*, o panu i o pradziadku. A, i jeszcze o waszym psie, Beauregardzie. No i zaprzyjaźniliśmy się. Stało się to tak jakoś zwyczajnie, naturalnie. Od tej pory pozostawaliśmy w stałym kontakcie. Powinnam była dostrzec, że Paul się we mnie durzy, ale niestety - uszło to mojej uwadze. Przypuszczam, że właśnie dlatego nigdy panu o mnie nie wspominali. Postąpili niewłaściwie, zgoda. Ale traktuje pan ten ich unik tak, jakby popełnili ciężki grzech. Dlaczego?

Rolland podszedł jeszcze bliżej.

- Jak dostała pani etat w Tatim? Nasze władze rzadko wydają Amerykanom pozwolenie na pracę.
- W moim przypadku zrobiono wyjątek, ale proszę się nie martwić. Odbieram pracę pańskim rodakom jeszcze tylko dwa tygodnie, a potem wyjeżdżam na dobre. Jeśli zaś chodzi o inne pańskie obawy, to rozwiązał już pan problem. Jest pan w Paryżu i zabiera swoje

pociechy do domu. Proszę mi powiedzieć tylko jedno - skoro aż tak dalece im pan nie ufa, to czemu wysłał je pan do szkół z internatem? Mogłyby przecież uczyć się w St. Genes - wiem, że jest tam bardzo dobry college - i mieszkać w domu. Życie jest takie kruche! Dzieciom potrzeba miłości rodzicielskiej bardziej niż kosztownego wykształcenia. Monique i Paul ogromnie tęsknili za domem i uczyli się solidnie, by uzyskać najwyższe oceny. Chcieli, żeby był pan z nich dumny. A tę czerwoną sukienkę Monique kupiła chyba po to, by wyglądać pięknie w przyszłym miesiącu na urodzinach dziadka. Twierdzi, że jest pan obiektem westchnień wielu kobiet. Nie powiedziała tego wprost, ale myślę, że ona się boi pojawienia się osoby, z którą zechce się pan związać i która odbierze jej pańskie uczucie. Jeśli w pana życiu jest ktoś taki, to błagam - niech jej nie zobaczą zaraz po powrocie do domu. Proszę poświęcić im całą uwagę, tak jakby nic się nie zmieniło. I jeszcze jedno - proszę mi obiecać, że wyjaśni pan sobie wszystko z Paulem jeszcze dziś wieczorem, bo potem może być za późno. Niech mu pan wytłumaczy swoje zdenerwowanie i niepokój. To taki dobry i wrażliwy chłopiec. Wszystko zrozumie i wybaczy. A teraz żegnam. Niech pana Bóg błogosławi - dokończyła po francusku.

Chwilę później Rolland usłyszał zjeżdżającą na dół windę. W opustoszałym mieszkaniu nie przebrzmiały jeszcze słowa Hallie, a on stał jak zamurowany. Zrobiła mu wykład poruszający najgłębsze pokłady jego psychiki, a potem miała jeszcze czelność pożegnać go na zawsze, polecając go bożej opiece.

W życiu nie spotkał kogoś takiego.

Kobiece wdzięki panny Linn, którym uległ jego syn, nie miały w tej chwili znaczenia. Co za czar rzuciła ta kobieta na jego dzieci, że aż tak jej zaufały? Był tym zraniony do żywego. Czuł się zdradzony, oszukany. Nie miał zielonego pojęcia, kim naprawdę była ta Amerykanka. Musiał się dowiedzieć.

Wszedł do małego pokoju, odszukał numer telefonu do supermarketu Tatiego i zadzwonił do dyrekcji. Czekał długo na połączenie, aż w końcu telefon odebrał ktoś z działu kredytów i powiedział, że dyrektora naczelnego dziś nie ma. Próbował uzyskać jakieś informacje na temat panny Linn, lecz wyjaśniono mu, że z kompetentną w sprawach personelu osobą będzie mógł porozmawiać dopiero jutro. Vincent miał już dzwonić do swego prawnika z prośbą, by swoimi sposobami uzyskał konieczne dane, gdy odezwał się telefon komórkowy. Na wyświetlaczu pojawił się domowy numer. Co do licha?

- Vincent przy telefonie.
- Kochany... Czy siedzisz, bo jeśli nie, weź krzesło... - Rozpaczliwy ton dziadka sprawił, że Vincenta oblał zimny pot.
- Co się stało?
- Właśnie dostaliśmy telefon ze szpitala Passy w Paryżu. Według raportu policji, Paul przebiegł ulicę na czerwonym świetle i wpadł pod ciężarówkę. Znaleźli w jego portfelu legitymację i zadzwonili tutaj. Paul jest nieprzytomny.
- Już tam jadę.

Krótki dystans dzielący mieszkanie od szpitala Vincent przejechał w kompletnym zamroczeniu i biegiem wpadł do izby przyjęć, śmiertelnie przerażony myślą, że Paul mógłby się nie obudzić. Teraz on, jak przedtem panna Linn, prosił Boga o opiekę i życie dla syna.

- Gdzie umieściliście Paula Rollanda? - spytał kogoś z personelu. - Mam informację z policji, że syna potrafiła ciężarówka.

- Jest teraz badany. O tam, pod piątką. Tędy, proszę tam pójść.

Rolland pchnął wskazane drzwi. Na widok zaciągniętej za korytarzykiem zasłony poczuł, że kamienieje. Po chwili wyszła zza niej pielęgniarzka. Rzucił się do niej ze strachem w oczach.

- Czy mój syn jest wciąż nieprzytomny?

- Nie. Odzyskał przytomność. Przed paroma minutami.

- Dzięki ci, Boże. - Vincentowi wrócił oddech.

- Badamy go jeszcze, ale proszę, może pan wejść.

Na pierwszy rzut oka Paul wyglądał normalnie, choć był bardzo blady, a na czole, z boku, miał rozległe zasinienie. Lekarz czyścił ranę na policzku. Podniósł wzrok, gdy Vincent się przedstawiał.

- Syn ma prawdziwe szczęście. Doznał obrażeń lewej ręki i nogi, ale obyło się bez złamania. Prześwietlenie wykazało wstrząśnienie mózgu, lecz po paru dniach leżenia w łóżku zawroty głowy miną i chłopiec będzie zdrow. Przeniesiemy go do sali jednoosobowej.

- Dziękuję, dziękuję za wszystko - powiedział Rolland z uczuciem najgłębszej ulgi. Lekarz wyszedł. Vin-

cent butem przyciągnął sobie stołek do leżanki. Paul przez cały czas miał zamknięte oczy.

- Synku... - Delikatnie dotknął jego ręki. - To ja, tato. Jestem przy tobie. Chwała Bogu, będziesz zdrow.

- Drżał mu głos;

Paul nie odpowiedział.

- Synku... odezwij się. Kocham cię.

- Nieprawda.

Odpowiedź przez zaciśnięte zęby brzmiała tak zimno, że Vincent zamarł.

- Zostaw mnie. Nie chcę cię widzieć. - Chłopiec znalazł w sobie dość siły, by wyrwać rękę z uścisku ojca.

— Przemawia przez ciebie gniew. Wiesz, że nigdy cię nie opuszczę. Jesteś moim synem. Poczekam, aż wypuszczą cię ze szpitala, i dopiero wtedy pojedziemy we troje do domu.

Paul otworzył oczy, ale nie było w nich ciepła. Syn, którego Vincent tak kochał i wychowywał od urodzenia, zniknął nie wiadomo gdzie.

- Nie jadę do St. Genes. To skończone. Zostaję w Paryżu. Nie martw się. Załatwiłem już sobie pracę i mieszkanie. Nie będziesz musiał mnie utrzymywać.

- Rzucił ojcu w twarz gorzkie słowa, odpłacając się za wszystko, co od niego niedawno usłyszał.

- Oj, Paul. Wiem, powiedziałem masę głupstw. Przepraszam cię. Kiedy poczujesz się lepiej, porozmawiamy, tak jak chciałeś.

- Za późno. Między nami wszystko skończone. Nie chcę cię widzieć! Nigdy! - Przymknięte powieki chłopca zadrgały.

- Pomówimy później. Teraz liczy się wyłącznie twoje zdrowie.

Jeśli nawet Paul słyszał ojca, nie odpowiadał. Uznając, że lepiej dać mu odpocząć, Vincent skorzystał z telefonu i zamówił rozmowę z St. Genes. Zawiadomił dziadka, że Paul wraca do zdrowia. Staruszek aż się popłakał. Na szczęście, jak powiedział, nie skontaktował się z Monique. Jeszcze nie wiedziała o wypadku.

Rozmawiali przez parę minut, po czym Rolland przeszedł za sanitariuszami do jednoosobowego pokoju na piętrze, dokąd przewieziono Paula. Gdy pielęgniarka mierzyła chłopcu ciśnienie, z Vincentem przywitał się inny lekarz.

- Mauris, witam. Przejdźmy na moment do holu, chciałbym porozmawiać.

Vincent poczuł, że dzieje się coś niedobrego. Spojrzał z niepokojem na lekarza.

- Czy pojawiły się jakieś komplikacje, o których mi nie powiedziano?

- Obawiam się, że tak. Lekarz prowadzący uznał jednak, że lepiej będzie, jeśli szczegóły usłyszysz pan ode mnie. Jestem ordynatorem oddziału psychiatrycznego.

Rolland poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę.

- Proszę mówić. Słucham.

W ciągu paru następnych chwil dowiedział się czegoś, czego żaden rodzic nie chciałby nigdy usłyszeć o swoim dziecku.

- Jeśli życzyłyby pan sobie konsultacji innego psychiatry, proszę nie mieć żadnych oporów.

- Nie, nie, ufam panu całkowicie - wybąkał Vincent. - Bóg jeden wie, że mój syn potrzebuje pomocy. Im szybciej, tym lepiej.

Lekarz skinął głową.

- Jakie ma pan plany na najbliższe dni?

- Zostanę przy synu. Będzie ze mną moja córka Monique.

- Świetnie. W takim razie proszę nie powtarzać tego, co panu powiedziałem - ani Paulowi, ani córce. Mówcie i róbcie tylko to, co wyniknie w sposób naturalny. Będę rozmawiał z synem co pewien czas przez następne dwie doby, a potem spotkam się z panem i córką, najpierw we troje, a później osobno z każdym z państwa. Wyjdziemy na prostą.

- Dziękuję - odparł Rolland drewnianym głosem i kiedy tylko pielęgniarka zapewniła go, że Paulowi nie potrzeba już nic prócz odpoczynku, pojechał do szkoły Monique. Po rewelacjach, jakie usłyszał od doktora Maurisa, był w szoku. Załamał się jeszcze bardziej, gdy zobaczył Monique. Była w swoim pokoju, leżała na łóżku i płakała. Zdarzało się jej to nieraz, ale nigdy z jego winy. Udręczony usiadł na łóżku i objął ją serdecznie.

- Tak mi przykro, kochana. Okropnie przykro. Mam nadzieję, że kiedyś i ty, i Paul mi wybaczycie.

Milczała, podobnie jak jej brat. Co takiego straszne go im zrobił?

- Chodź - powiedział. - Musimy jechać. Zanieś

swoje rzeczy do samochodu. Mam ci coś ważnego do powiedzenia, ale najpierw wyjdźmy stąd.

Zaintrygowana zagadkowym tonem ojca, Monique podniosła się od razu i pomogła wstawić swoje walizki do bagażnika. Spakowała się już dawno, marząc o jak najszybszym opuszczeniu murów internatu. Kiedy ruszyli, spytał, jak to się stało, że nie wróciła do szkoły razem z Paulem taksówką.

- Wybiegł i uciekł. Nie udało mi się go zatrzymać. Ale... muszę ci, tato, powiedzieć - nie mam do niego pretensji o to, jak się zachował.

Była lojalna wobec brata. Kochana smarkula!

- Ja też nie - odpowiedział. - Tylko że... Widzisz... Był taki roztrzęsiony, że wpadł pod samochód. Nie krzycz, opanuj się. Nic strasznego się nie stało. Jest potłuczony i ma wstrząśnienie mózgu, ale wyzdrowieje. Za parę dni będzie mógł pojechać do domu. Problem w tym, że wydaje mu się, że mnie nienawidzi. Ma do tego prawo, rozumiem. Zanim spędzimy z nim ten wieczór, chciałbym, żebyś opowiedziała mi wszystko o pannie Linn. Niczego nie opuść. I nie bój się, nie pytam dlatego, że podejrzewam ją o jakąś niegodziwość. Muszę jedynie dowiedzieć się, jak przebiegała wasza znajomość. Inaczej nie rozumiem, co dzieje się w duszy Paula. Kocham go. Jeżeli jednak nie poznam faktów, nie będę w stanie prawdziwie go przeprosić. Prawdziwie to znaczy tak, by uznał, że jestem szczerzy. Rozumiesz mnie?

- Nie sędzę, tato, że jest to coś, co mógłbyś w pełni pojąć.



Twarda odpowiedź Monique zaalarmowała Rolanda. Nie poznawał swojej córki. Tak. W okresie minionych dziewięciu miesięcy jego dzieci stały się dorosłymi ludźmi. Nie był przy nich i nie rozumiał, co się dzieje. Świadomość tego była dręcząca. Cierpiał nie tylko z powodu tego, co stracił, ale i co swoją niewiedzą wywołał.

- Daj mi szansę.

- Paul zakochał się. Rozumiem go. Całkowicie akceptuję Hallie jako moją przyszlą bratową.

- Co jest w niej takiego nadzwyczajnego?

- Jest jedyną osobą wartą miłości Paula. Tak to czuję. Po prostu.

Mocne słowa! Monique kochała swego brata do szaleństwa i była wobec niego bardzo zaborcza. Skoro powiedziała coś takiego, znaczyło to, że należało postępować bardzo rozważnie. Ponieważ sam ożenił się w wieku osiemnastu lat, nie miało sensu upierać się, że Paul jest za młody, by odróżniać fascynację od miłości. Vincent musiałby być hipokrytą, żeby mówić teraz córce, że Paul w najbliższych siedmiu, dziesięciu latach zakocha się jeszcze parę razy. Dopiero w wieku dwudziestu pięciu, trzydziestu lat mężczyzna staje się odpowiedzialny i osiąga pewną stabilność psychiczną i materialną konieczną do tego, by szczęśliwie założyć i utrzymać rodzinę.

- Paul opowiedziałby ci o Hallie już dawno, ale obawiał się, że nie zaakceptujesz tego, że pokochał Amerykankę. Prosił mnie, żebym się przed tobą nie wygadała.

Vincent miał głębokie przeświadczenie, że powód, dla którego jego syn krył się ze swą miłością, był inny.

- Nie mam zastrzeżeń do Amerykanów. Faktycznie, przed paroma laty zdarzył mi się pewien klient z Ameryki, którego niespecjalnie dobrze wspominam, ale moi amerykańscy znajomi są w większości miłymi ludźmi. Moja niechęć do panny Linn nie ma nic wspólnego z jej narodowością. Po prostu doznałem szoku na myśl, że Paul wolał wydać pieniądze na pierścionek dla niej niż na samochód, który miał być prezentem dla was z okazji ukończenia szkoły,

Monique spuściła oczy.

- Chciał się z *nią* zaręczyć. Powiedziałam *mu*, że nie zależy mi na samochodzie. Jeśli chodziło mnie, nie ma sprawy. Postanowił zwrócić ci kasę w miesięcznych ratach. Dyrektor szkoły wystawił mu bardzo dobrą opinię i dzięki tym referencjom Paul załatwił sobie wstępny angaż w banku na Montparnasse. Miał zacząć praktykę w poniedziałek.

Niesamowite! Rolland postanowił szybko, że jutro skoro świt pojedzie do szkoły Paula po jego rzeczy i stamtąd zatelefonuje do banku, by zawiadomić dyrekcję o wypadku.

- Po waszym wyjściu przeprowadziłem z panną Linn długą rozmowę. Wygląda na młodszą, ale twierdzi, że ma dwadzieścia pięć lat.

- Bo tak jest. Paul widział jej paszport.

- Czy w takim razie nie sądzisz, że dwudziestopięcioletnia kobieta jest dla twego brata za stara?

- Nie sędę - odpowiedziała jakby odrobinę za szybko, choć zawsze reagowała błyskawicznie. - Paul uważa ją za fascynującą osobę.

A ponieważ kochasz swego brata bliźniaka, nie będziesz sabotować jego planów, pomyślał Rolland i skonsternowany potarł kark. Zgadzał się z Monique w jednym. W całym Paryżu nie znalazłoby się wiele kobiet o ciekawszej urodzie i piękniejszej figurze. Panna Linn nie potrzebowała się stroić, by podobać się mężczyźnie. Chyba w ogóle się nie malowała. Gdy rozwiązywała apaszkę, zauważył na jej szyi malutki krzyżyk, ale innej biżuterii raczej nie miała. Z wyjątkiem pierścionka, który zdjęła w jego obecności.

- Paul uważa moje szkolne koleżanki za płytkie i nudne. Zgadzam się z nim. Hallie ma za sobą doświadczenia, które wyróżniają ją spośród innych ludzi. Potrafi też znakomicie słuchać.

Nie miał zatem szans wygrać z kobietą o urodzie panny Linn, która w dodatku zastanawiała się nad każdym słowem jego syna.

- Czy wasza znajoma ma w Paryżu rodzinę?

- Nie. Na pewno nie. Pochodzi z Kalifornii, ale jest teraz samiuteńka.

- Rozumiem. - Zacisnął zęby. - Opowiedz mi zatem o tych doświadczeniach, dzięki którym jest w twoich oczach taka oryginalna.

- Nie znam szczegółów, ponieważ ciężko jej było o tym mówić, ale wiem, że dwa lata temu przeżyła katastrofę lotniczą. Sprawilo to, że przewartościowała swoje życie. Postanowiła pomagać ludziom.

- Piękna pasja - wymruczał, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiało powątpiewanie. - A co przy wiodło ją do Paryża?

- Praca.

- Chcesz powiedzieć, że Tati ma filię w Kalifornii i pannę Linn przesłano tu do nas?

Monique zaprzeczyła ruchem głowy. Vincent zacisnął ręce na kierownicy. Miał dosyć tej rozmowy.

- Wiesz, mam wrażenie, że boisz się odpowiedzieć jasno na moje pytanie.

- Paul prosił, żebym nic ci nie mówiła.

- Ale dlaczego? Skoro ta kobieta jest taka wspaniała, to skąd ten niepokój?

- Paul wie, że prawda cię ucieszy.

Monique mówiła jeszcze bardziej zagadkowo niż zwykle. Vincent wjechał na parking przy szpitalu i wyłączył silnik.

- Czy jestem aż takim potworem, że nie możesz mi ufać? - By móc współpracować z doktorem Maurisem, musiał dowiedzieć się od córki prawdy.

Monique powoli odwróciła do niego głowę. Udręczone brązowe oczy, które tak kochał, wydawały się zajmować całą twarz.

- Za dwa tygodnie Hallie wraca do Kalifornii, by wstąpić do klasztoru. Paul nie może znieść tej myśli. — Dziewczynie trzęsły się usta. - Właśnie dlatego ofiarował jej pierścionek. Żeby wiedziała, że naprawdę chciałby się z nią ożenić. Pragnął zrobić coś, co powstrzymałoby ją przed podjęciem decyzji, która odbierze mu ją na zawsze. Gdybyś wiedział...

- Chwileczkę - przerwał ojciec. - Wróćmy do początku. Powiedziała wam, że zamierza zostać zakonnicą?

A więc to tak! Zabawa w zakazany owoc. Och, jakże to musiało smakować jego synowi. Czyżby niejaka panna Linn umyśliła sobie, że oszustwem rzuci go na kolana?

- Tato... Hallie już jest w zakonie, tylko nie złożyła jeszcze ślubów wieczystych.

- Okłamała was...

- Nie - sprzeciwiła się Monique. - Od półtora roku Hallie jest u dominikanek. Najpierw posługiwała w Kalifornii, a potem w opactwie Clairmont. Obecnie coraz więcej kobiet pełni służbę duszpasterską wśród ludzi, w świeckim stroju. Takie siostry podejmują zwykłą pracę, by zarobić na swoje utrzymanie.

Vincent nigdy o tym nie słyszał. Czy była to prawda, czy nie, Monique uwierzyła pannie Linn. Nie śmiał podważać przekonania córki i dręczył jej jeszcze bardziej. Musiał sam wszystko sprawdzić. Odetchnął ciężko.

- W porządku. Załóżmy, że to, co Hallie wam opowiedziała, jest prawdą. Dlaczego więc wyjeżdża z Paryża?

- Już ci mówiłam. - Monique wyglądała na zupełnie załamana. - W czerwcu ma złożyć śluby wieczyste w swoim macierzystym klasztorze w San Diego. Kiedy się to stanie, nigdy już jej nie zobaczymy. Paul szaleje. Tak bardzo ją kocha! Tato! Sytuacja wygląda tak, że nie mamy paru lat na przekonanie Hallie, by zmieniła de-

cyję. Musiał oświadczyć się już, teraz, natychmiast, bo potem byłoby za późno. Długo nie mógł zdobyć się na odwagę. Zaplanowaliśmy te urodziny w twoim mieszkaniu po to, żeby mógł spokojnie poprosić ją o rękę. Musieli pobyć chwilę sami, więc wyszłam. Za ostatnie oszczędności kupiłam tę czerwoną sukienkę. To dla Etvige, na urodziny. Zawsze chciała mieć coś eleganckiego z Paryża.

Wyjaśnienia córki wepchnęły Rollanda jeszcze głębiej w otchłań, w jakiej znalazł się po rozmowie z doktorem Maurisem. Monique mówiła i mówiła, a na jej słowa zaczęły mu się nakładać gorzkie wyrzuty, które usłyszał z ust panny Linn: „Nie jestem w ciąży. Gdybym jednak była, to czy przekupiłby mnie pan, żebym *tylko* się wyniosła? Pozbawiłby pan Paula możliwości wychowywania i pokochania rodzzonego dziecka?“. Jęknął głośno. Jego ocena sytuacji była tak absurdalna, że czuł się tak, jakby się znalazł w zakętym kręgu bez wyjścia. I naprawdę nie widział wyjścia. Psychiczne zdrowie Paula było śmiertelnie zagrożone. Co więcej, on sam, jego ojciec, zniszczył więź, która wydawała mu się niezniszczalna. Jeszcze bardziej beznadziejne było to, że nawet gdyby chciał, nie potrafił pomóc Paulowi w niczym, co wiązało się z panną Linn. Ta kobieta nie kochała jego syna. Wybrała klasztor.

Wszystko, co zdarzyło się w paryskim mieszkaniu, nabrało jakiegoś okropnego sensu. Dawny świat Vincenta Rollanda został wywrócony na nice. Monique ledwie się odzywała. Paul przeżywał koszmar, gdyż własny ojciec obraził jego ukochaną, która lada

dzień miała wstąpić do klasztoru i zniknąć na zawsze. Wszystko, co Vincent czynił z intencją, by dzieci nie powtórzyły jego własnych błędów, zostało mu odrzucone w twarz. Rozpacz sprawiła, że poczuł się jak starzec.

- Chodźmy, maleńka - powiedział do córki. - Paul nas potrzebuje, jeśli nawet życzy mi teraz, żebym wyzionął ducha na środku Sahary.

I jeśli nawet pragnął niedawno opuścić ten najlepszy ze światów.

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

Sobotnie popołudnie, godzina piąta. Hallie obsłużyła ostatniego klienta, zablokowała kasę i wyszła z Tatiego. Od chwili, gdy z ciężkim sercem opuściła mieszkanie Rollanda, upłynęły dwa dni. Świadomość, jak okropną sytuację stworzyła, zaprzyjaźniając się z jego dziećmi, nie dawała jej spokoju. Musiała coś zrobić z tym niesamowitym chaosem. W nocy długo się modliła. Dziś była umówiona na rozmowę z matką Marie-Claire. Rollandowie byli już zapewne w domu. Hallie obawiała się, że jakakolwiek próba porozumienia się z Vincentem lub jego dziećmi spełźnie na niczym.

Pozostało jedynie wysłać list do St. Genes i mieć nadzieję, że Rolland nie podrze go bez czytania. Bolesne starcie sprawiło, że zwątpiła w swoje umiejętności właściwej oceny sytuacji, nie mówiąc już o wyczuciu, które powinno cechować zakonnicę.

Czy była aż tak zarozumiała, że pomoc cudzym dzieciom uznała za swoją misję? Czy właśnie to zaślepiło ją do tego stopnia, że nie dostrzegła oznak rodzącego się problemu? A może obudził się w niej nagle instynkt macierzyński i okazał się silniejszy od rozsądku? Tak czy owak, jakąż byłaby zakonnicą, podejmując w przyszłości pracę z młodzieżą?



Było to jedno z pytań, na które musiała sobie odpowiedzieć z całą szczerością. Obawiała się, że jeśli prędko nie rozwikła tego problemu, jej dalsza posługa zakonna nie ma perspektyw. Roztrzęsiona, przyspieszyła kroku.

- Panna Linn?

Poznała od razu ten głos. Odwróciła się błyskawicznie, zaskoczona, że Rolland jest jeszcze w Paryżu, i na moment przestało jej bić serce. Tak bardzo zależało jej na tym, żeby porozmawiać z nim jeszcze raz i spróbować wszystko naprawić! Jej modlitwa została wysłuchana. Gdy podszedł bliżej, odniosła wrażenie, że się postarzał. Był bledszy, jego twarz żłobiły ostre linie, a w brązowych oczach paliło się cierpienie.

- Paul jest w szpitalu - powiedziała bez wstępow.

Spodziewała się usłyszeć wszystko, ale nie to.

- Co z nim?! - krzyknęła.

- Nie umiera, jeśli o tym pani pomyślała. Fizycznie wyjdzie z tego - dodał ciszej. - Wpadł pod ciężarówkę, gdy tamtego wieczoru wybiegł z domu.

- Boże święty...

- Powiedziałem: nic mu nie będzie. Potłukł się tylko i ma wstrząśnienie mózgu.

Hallie zacisnęła powieki.

- Żyje. Dzięki ci, Boże. Był tak roztrzęsiony... Nic dziwnego, że nie uważał, jak idzie.

- Niestety, w tym względzie myli się pani. Kiedy karetka przywiozła go do szpitala, był nieprzytomny. Po odzyskaniu świadomości przyznał się lekarzowi, że wbiegł pod samochód celowo.

- Słucham? Nie, to niemożliwe. Chciał popełnić samobójstwo?

W udręczonych oczach Rollanda odbiło się jej własne przerażenie. Poczwała, że ojciec Paula ściska ją za łokieć.

- Musimy porozmawiać, ale nie tutaj. Jest już pani po pracy?

- Tak. - Kręciło się jej w głowie. - Szłam właśnie do... do domu. Postanowiła nagle przesunąć spotkanie z matką przełożoną na kiedy indziej. To było zdecydowanie ważniejsze.

- W takim razie pojedziemy najpierw do mnie. Zjemy coś i opowiem pani, co miał mi do powiedzenia lekarz Paula.

Prowadząc ją w tłumie pieszych w stronę samochodu, przez cały czas, zapewne bezwiednie, podtrzymywał ją pod ramię. Po śmierci męża Hallie ani razu nie kochała się z mężczyzną, toteż teraz czuła dziwne skrępowanie i poruszenie. Kilka minut jazdy przebiegło w milczeniu.

- To wszystko moja wina - odezwała się pierwsza.  
- Przeoczyłam rodzając się w Paulu uczucie.

- Na pewno, lecz nie powinna pani brać całej winy na siebie. Psychiczny rozstrój, jakiemu uległ mój syn, jest wynikiem całego splotu zdarzeń. Zajmujący się Pauliem psychiatra, doktor Mauris, uświadomił mi to z całą otwartością. Jego zdaniem nie należy szukać winnego. Biczowanie się za to, co uznajemy za nasz błąd, w niczym memu dziecku nie pomoże.

Hallie otarła łzy.

- Czuje się pan zatem niewinny? - wyszeptwała.

Nie odpowiadał długo i myślała już, że nie dosłyszał pytania.

- To nie tak - powiedział cicho z takim udęczeniem w głosie, że znów się popłakała.

Po katastrofie lotniczej odrodziła się jak feniks z popiołów. Poczwała w sobie siłę dokonania w życiu czegoś dobrego, twórczego, potrzebnego innym ludziom. Przynajmniej taki cel sobie postawiła. A tymczasem osiągnęła coś przeciwnego - namieszała w rodzinie Rollandów.

- Powinam być mądra. - Pokręciła z żalem głową.  
- Powinam być dla pańskich dzieci ostoją, kimś, kto swoją obecnością i umiejętnością wysłuchania wnosi światło i nadzieję.

- Nie tylko panią wszystko to zaskakuje! - wykrzyknął tonem samooskarżenia. — Nie pamiętam swojej matki. Wyłącznie ojca, który trzymał mnie krótko. Bał się, że jeśli wyjadę choćby na parodniową wycieczkę, winnica i dom przestaną mi wystarczać. Przez całe lata przeklinałem ojca i przysiągłem sobie, że jeśli kiedyś będę miał dzieci, zadbam o to, by mogły się swobodnie rozwijać, poznawać świat i samodzielnie doświadczać życia. Pamiętam, że kiedy oznajmiłem Paulowi i Monique, że wysyłam ich do szkół w Paryżu - ja sam w ich wieku mogłem o tym tylko marzyć - przyjęli to bez entuzjazmu. Wierzyć mi się nie chało, że nie zależy im na poznaniu smaku niezależności. Jak na ironię, moje dzieci wcale nie chciały opuszczać domu. Byłem jednak przekonany, że wypychając je z rodzinnego gniazda w świat, postępuję słusznie. Uważałem, że robię to dla ich dobra...

- Był pan z nimi tak blisko i dawał im tyle miłości  
- powiedziała poruszona Hallie - że nie odczuwali potrzeby odejścia. Nie chcieli jednak urazić pańskich uczuć, mówić, że marzą o powrocie.

- I znaleźli powiernika w pani - skomentował niechętnie. - Przykro mi, że przez cały ten czas musiała pani nieść brzemię odpowiedzialności za *mój* błąd.

- Proszę tak nie mówić! - zaoponowała szczerze.  
- To nie był błąd. Paryż w życiu pańskich dzieci to wspaniały czas doświadczeń, których nie można zrozumieć inaczej, niż odczuwając je na własnej skórze. Pana dzieci są wspaniałe. Kocham je. Kocham każdą chwilę, którą z nimi spędziłam. Ich pragnienie przyjaźni z kimś spoza szkoły dodawało mi skrzydeł. Bo widzi pan... Zamierzałam złożyć śluby wieczyste przed wyjazdem do Francji. Ale podobnie jak panu w przypadku swoich latorośli, mojej matce przełożonej wydało się słuszne, by jej podopieczna rozejrzała się trochę po świecie. Uważała, że wyjdzie mi to na dobre. Pragnęła, żebym nabrała absolutnej pewności, że mam powołanie do życia zakonnego. Na miejsce posługi wybrała mi Paryż. Nie chciałam wyjeżdżać z Ameryki. A potem... potem poznałam pańskie dzieci. W głębi duszy odebrałam to jak przeznaczenie. Chciałam im służyć. Nie pojęłam, że Paul widzi we mnie nie tylko przyjaciela. Nie wiedziałam. .. - Załamał jej się głos.

- Zapomina pani, że to ja zamieniłem się w potwora i wyrzuciłem własnego syna z domu? - przerwał jej Rolland. - Rodzona córka tak się mnie boi, że dygocze, gdy coś do niej mówię. Ale... to cała historia.

Nie rozmawiali więcej, aż znaleźli się w mieszkaniu w Passy. W salonie nie było już nawet śladu po niedawnym przyjęciu. Rolland poprosił Hallie do stołu i spytał, co miałyby ochotę zjeść. Odpowiedziała, że nic.

- Ależ siostró - zdziwiony uniósł brwi - po całym dniu pracy trzeba coś przegryźć.

- Nie złożyłam jeszcze ślubów zakonnych - odparła szybko. - Proszę mi mówić po imieniu, zwyczajnie: Hallie.

Przez moment patrzył jej w twarz. Chciał, czuła to, być gościnnym, a nie wiedział, dlaczego odmówiła zjedzenia z nim posiłku.

- Po prostu jeszcze poszczę - wyjaśniła, a Vincent niepewnie przeganiał palcami włosy.

- Czy w takim razie nie uznasz za nietakt z mojej strony, jeśli napiję się kawy?

- Oczywiście, że nie. Kawa stawia na nogi. Bardzo pana proszę, niech pan...

- Bądźmy po imieniu.

Dwa dni temu nie potrafiłaby sobie wyobrazić kulturalnej rozmowy z Vincentem Rollandem, a co dopiero takich poufałości.

- Nie krępuj się, proszę. Zjedz kolację, jeśli chcesz. Powinieneś się pokrzepić. Wyobrażam sobie, że padasz z nóg, skoro spędziliście z Monique całą dobę w szpitalu.

- Siedzieliśmy przy Paulu na zmianę, żeby ani przez moment nie był sam.

Spotkali się wzrokiem. Hallie nie umiałaby powiedzieć, o czym myślał Rolland, lecz intensywność tego kontaktu obudziła w niej niepokój.

- Masz sińce pod oczami. Też pewnie nie spałaś
- powiedział i wyszedł do kuchni.

Pod jego nieobecność weszła do łazienki, odświeżyła się, a gdy wróciła, zastała go już przy stole. Posłodził kawę dwoma łyżeczkami cukru i nagle badawczo spojrzął na Hallie, widząc, że się uśmiechnęła.

- Coś cię bawi?

- Teraz już wiem, dlaczego twoje dzieci tak lubią słodycze. Nigdzie się nie ruszają bez jakiegoś batonika.

Vincent uśmiechnął się leciutko. Pozwoliło jej to sobie wyobrazić, jaki był, nim doszło do tych wszystkich nieszczęść.

- W dzieciństwie uwielbiałem marcepany.

Był zapewne przystojnym chłopcem. Teraz stał się oszałamiająco przystojnym mężczyzną... Zaniepokojona swymi odczuciami, usiadła przy stole i przeszła do sedna sprawy.

- Przyjechałeś po mnie do pracy z powodu Paula. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, mogę przyrzec tylko jedno - zrobię wszystko, żeby wam pomóc.

- Westchnęła ciężko. - Nie ma dla mnie sprawy ważniejszej. Kocham twojego syna.

- Czy aż tak, by mu przyrzec, że spędzisz w naszym domu lato?

W życiu by się nie spodziewała takiego obrotu spraw.

- Zdaniem psychiatry mój syn marzy o tym. Wbił sobie do głowy, że jeśli przyjechałabyś do nas i pobyła z nim na co dzień, zrozumiałabyś, że klasztor nie jest twoim przeznaczeniem.

Hallie opuściła głowę. Wyrwanie się ze szponów

śmierci nie zmieniło Paula. Nadal fantazjował i widział to, co chciał widzieć.

- A co sądzi o tym doktor Mauris?

- Cytuję: „Mogłoby to się okazać najlepszym rozwiązaniem”. W sposób naturalny, z upływem czasu, Paul przekonałby się, że nie jesteś chodzącym ideałem. Że jak każda kobieta masz słabości i że różnicie się zainteresowaniami i potrzebami. Po pewnym czasie opadłyby mu łuski z oczu, przewyciężyłby swoją fascynację i odżył. Stałoby się to, co powinno - dojrzałby.

Zapadła długa cisza. Hallie rozważała tok rozumowania psychiatry. W końcu podniosła wzrok.

- A ty, Vincencie... Jak się na to zapatrujesz?

- Ciężko powiedzieć. Dokonałaś już w życiu wyboru, ale bez względu na to, co sądzi doktor Mauris, uważam, że powinnaś zobaczyć się z Paulem. Zależy mi na tym, żeby nie trwał w przekonaniu, że wyrządziłem ci krzywdę.

Podniósł się szybko od stołu, lecz zdążyła dostrzec w jego oczach strach. Zrozumiała, że Vincent bardzo cierpi, a w jego psychice zapanował chaos. Rozpoznała to łatwo, gdyż z podobnymi reakcjami spotykała się u nowicjuszek, które przed złożeniem ślubów wieczystych borykały się z osobistymi problemami.

- Paul na pewno tak nie uważa.

W oczach Vincenta pojawił się znów wyraz lęku i pustki.

- Nie udawajmy, że moje zachowanie nie wywołało w nim trwałego urazu.

Hallie miała pewność, że Vincenta umacniał w tej

opinii jakiś głęboki powód. Jego osobiste życie musiało być napiętnowane czymś strasznym. Najprawdopodobniej były to przeżycia związane z osobą despotycznego ojca.

- Zawiozę cię do szpitala - powiedział - ale chcę, żebyś wiedziała, że Paul ze mną nie rozmawia. Muszę polegać wyłącznie na tym, czego dowiaduję się od lekarza i Monique. Obawiam się, że moja córka, podobnie jak Paul, jest przekonana, iż celowo nie dopuszczam cię do nich.

Hallie poderwała się z krzesła. Ugiwały się pod nią nogi, lecz słabość ta nie wynikała z długiego postu.

- Skoro tak, udowodnię twoim dzieciom, że się mylą.

Nie była w stanie zapobiec samobójczej próbie Paula. Nikt nie mógł przewidzieć tego, co zrobił po wyjściu z mieszkania ojca. Cudem jego życie zostało ocalone. Znajdował się teraz pod najlepszą opieką. Nie było jednak nikogo, kto mógłby pomóc jego ojcu. Pod maską opanowania i inteligencji krył się bezradny, udręczony człowiek. Jej obowiązkiem było zadbać o zdrowie Paula. Tylko ona mogła go wesprzeć. W przeciwnym razie bezcenna więź między ojcem a synem uległaby zerwaniu - być może na zawsze.

Monique aż krzyknęła, gdy po wyjściu z pokoju Paula zobaczyła na korytarzu Hallie w towarzystwie ojca. Na twarzy dziewczyny odmalowały się radość i ulga. Panie ucałowały się serdecznie.

- Czekałam z przyjazdem, bo na moje odwiedziny



musiał wyrazić zgodę lekarz. Twój tato był tak uprzejmy, że zajechał po mnie do pracy, żebym mogła tu dotrzeć jak najprędzej. Powiedział, że nie mamy chwili do stracenia.

Monique zareagowała niepewnie. Spojrzała na ojca, jakby szukała potwierdzenia, i raptem rzuciła mu się na szyję.

- Tato, dziękuję! Paul tak się ucieszy.

Łatwość, z jaką Monique wybaczyła ojcu, dodała Hallie otuchy. W oczach Rollanda zobaczyła niekłamną wdzięczność.

- Zaczekamy na ciebie tam, w korytarzu - powiedziała Monique. - Idź już.

Hallie kiwnęła głową i weszła do Paula. W przegrzanym pokoju grał telewizor, ale chłopiec wyglądał tak, jakby spał. Leżał odkryty, miał na sobie ładną piżamę w drobne paski. Zapewne przywiózł mu ją ojciec. Na wózek przy łóżku stała taca z nietkniętym posiłkiem. Hallie nachyliła się nad Paulem. Czoło miał jeszcze posiniaczone, ale opuchlizna znikła. Zważywszy na to, co przeszedł, prezentował się zupełnie nieźle, a najważniejsze, że żył. Chwała Bogu!

- Paul... To ja, Hallie - szepnęła. - Lekarz wreszcie pozwolił mi na odwiedziny.

Chłopiec natychmiast uniósł powieki.

- To ty? Hallie... Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę. Nie wierzę własnym oczom...

- Niby dlaczego? - Pocałowała go w prawy policzek. - Lewą stronę zostawmy lepiej w spokoju. Na razie. Dobrze?

Została nagrodzona charakterystycznym uśmiechem Rollandów.

- Nawet nie próbuj siadać! Słyszałam, że masz zawroty głowy.

- Nie jest już tak źle, jak było.

- Tere-ferre - zażartowała. - A obiad? Nawet go nie ruszyłeś.

- Nie mam apetytu. To szpitalne żarcie jest obrzydliwe.

- Gorsze niż w internacie? Niemożliwe. Przyznaj się - ktoś, kto gotuje na co dzień u was w domu, strasznie cię rozpieścił.

- Zgadza się. - Pochłaniał ją oczami.

- Nie obrazisz się, jeśli zjem twój obiad? Przyjechałam prosto z pracy. Poza tym, pora kończyć post.

- To ty pościsz? - Aż zamrugał, zaskoczony.

- Tak. W twojej intencji. W intencji całej waszej rodziny.

Przysunęła sobie krzeselko, wzięła tacę na kolana i zaczęła jeść.

- Wszyscy potrzebujecie teraz pomocy, a już specjalnie dziadek Maurice. Ciężko przeżył twój wypadek, zwłaszcza że jak mi mówiłeś, liczył minuty, czekając stęskniony na wasz powrót. Rozmawiałeś z nim dzisiaj?

- Telefonował dwa razy.

- A widzisz. Wyobrażam sobie, jak się ucieszył, słysząc twój głos. Wypadek wszystkich nas ogromnie przeziął, a ja, no... w ogóle, co tu mówić.

Paul uniósł głowę.

- Skąd się dowiedziałas? Od Monique?

- Nie. Od twojego taty. Dziś przyjechał po mnie do pracy i przywiózł tutaj.

Chłopiec naburmuszył się.

- Jak mogłaś w ogóle z nim rozmawiać?! Potraktowałam cię jak...

- Przeprosił mnie z całego serca. Zależy mu wyłącznie na tobie.

- Musisz tak mówić, bo jesteś zakonnica - odparł gorzko.

- Nie, wcale nie. Po prostu od dziecka uczono mnie, że ludziom należy wybaczać. Twój ojciec ogromnie cierpi. Wiem o tym, naprawdę. A jeśli już mówimy o mnie, to zakonnica jeszcze nie jestem. Przyjechałam tu również po to, żeby o tym porozmawiać. Ale pozwól, że najpierw skończę obiad. Chcę ci powiedzieć coś, czego o mnie nie wiesz.

Zaintrygowany nieoczekiwaną zapowiedzią, Paul obrócił się na zdrowy bok i czekał, nie spuszczając z Hallie wzroku. Wypiła sok jabłkowy i odstawiła tacę na stolik.

- To, co powiem, na pewno cię zaskoczy. Byłam zameżna.

Wiadomość ta spadła na chłopca jak grom z jasnego nieba. Na jego twarz wypłynął powoli rumieniec i wyraz urazy. Stało się tak, jak przewidywała Hallie. Przynajmniej jedna łuska już spadła Paulowi z oczu. I dobrze.

- Dlaczego nigdy nam o tym nie wspominałaś? - zapytał cicho.

- Było to dla mnie zbyt bolesne. Mój mąż zginął w katastrofie lotniczej. Opowiadałam wam o niej.

Patrzył na nią jak na obcą.

- Kochałaś go?

- Do szaleństwa. Przeklinałam Boga, że nie zabrał również mnie.

Paul przełknął ślinę.

- Dziadek Maurice mówił, że nasz tato też tak bardzo kochał mamę - wyszeptał. - Hallie, tak mi przykro.

- Nie roztkliwiamy się. Po tej katastrofie moje życie nie było łatwe, ale dziś mogę uczciwie powiedzieć, że już nie cierpię. Śmierć męża odmieniła mnie. Znalazłam ukojenie w posłudze dominikańskiej. Na świecie jest tyle nieszczęścia! Jeśli udaje mi się ulżyć komuś w cierpieniu czy samotności, to przestaję myśleć o sobie i napała mnie to radością.

Paul ułożył się na plecach. Patrzył w sufit.

- Czy Monique i ja byliśmy dla ciebie właśnie takimi nieszczęśnikami? Osobami, którymi uznałaś za stosowne się zająć?

- Tak - odpowiedziała szczerze. - Oboje tęskniliście za domem. Chciałam być dla was oparciem, kimś, z kim moglibyście swobodnie porozmawiać, побыć, wyzalić się...

Spojrzał na nią. Jego oczy straciły blask. Spadła kolejna przesłona. Od tej chwili Hallie musiała postępować bardzo rozważnie.

- Może teraz rozumiesz lepiej ryzyko, jakie podejmuje się, zostając siostrą bezhabitową. Czasami, gdy podaje się komuś pomocną dłoń, niespodziewanie powstaje więź istotna dla obu stron. A wtedy... Wtedy trudno się rozstać. Paul... Pokochałam was i wiem, że

oboje mnie kochacie. Nie miało się tak stać, ale się stało. Kiedy Monique przyjechała po mnie w ten czwartek, powinnam była kategorycznie się wymówić. Gdybym była taka, jaka powinna być zakonnica, umiałabym podporządkować się regule. Ale niestety. Serce nie sługa. Nie potrafiłam odmówić sobie przyjemności pobycia w waszym towarzystwie... Wiesz, dlaczego wysłano mnie do Francji?

Utkwił wzrok w jej twarzy.

- Bo przywiązałam się do Gaby, mojej przyjaciółki. Wiedząc o tym, przełożona naszego zgromadzenia uznała, że jestem w klasztorze za krótko. Stwierdziła wprost, że w głębi duszy nie rozstrzygnęłam jeszcze sprawy powołania i w związku z tym daje mi kolejny rok próby. Zorganizowała przeniesienie do Paryża. Najwidoczniej wiedziała o mnie coś, z czego ja sama nie zdawałam sobie sprawy. Rozumowała prawidłowo, gdyż historia powtórzyła się - znów całym sercem przylgnęłam do kogoś, tym razem do was. Tymczasem zakonnica musi służyć wszystkim, bez preferencji. Straciłam męża, sądziłam więc, że nadaję się do służby Bogu i ludziom. Ale być może tak nie jest... Nie miałam pojęcia, że zamierzasz poprosić mnie o rękę, ale nie tylko to każe mi się głębiej zastanowić nad sobą. Już wcześniej miałam chwile wątplenia, czy potrafię być dobrą zakonnica, lecz twoje kategoryczne stwierdzenie, że klasztor to miejsce nie dla mnie, naprawdę mną wstrząsnęło. Poczułam się tak, jakby ktoś wdeptał w ziemię moje dotychczasowe przekonania i plany.

Wszystko, co teraz powiedziała, było prawdą. Jed-

nakże wypowiedzenie tego na głos sprawiło, że doświadczyła w sobie jeszcze większego chaosu.

- Nie chciałem tego, naprawdę! - wybuchnął Paul.

- Wiem - odpowiedziała łagodnie. - Tyle że twoja opinia idzie w parze z moimi własnymi przemyśleniami. Coś się we mnie burzy przed złożeniem ślubów wieczystych. Nie jestem gotowa do podjęcia ostatecznej decyzji. Gdyby było inaczej, nie zależałoby mi aż tak bardzo na przyjaźni łączącej mnie z tobą i z Monique. Postanowiłam pozostać we Francji dłużej. Mam nadzieję, że wraz z upływem czasu poznam lepiej swoje serce i umysł.

- Hallie...

Paul był tak rozemocjonowany, że aż ją to zaniepokoiło. Modliła się, by rozumowanie doktora Maurisa okazało się słuszne. W przeciwnym razie jej decyzja mogła zaowocować jeszcze gorszym skutkiem. Chyba jednak Vincent nie opowiedziałby jej o tym wszystkim, gdyby nie uważał takiego rozwiązania za słuszne. Jego rozpacz martwiła ją. Gdyby potrafiła pomóc naprawić więź między nim a Paulem, podniosłoby ją to na duchu.

- W Tatim pracuję jeszcze tylko tydzień, nie mogę więc zostać w Paryżu. Na szczęście dominikanki prowadzą też działalność w Lyonie.

Paul zmarszczył brwi.

- W Lyonie? Czemu miałybyś tam jechać?

- Bo dostałabym pracę, to po pierwsze.

- Nie musisz pracować. Utrzymam cię. Zaraz po wyjściu ze szpitala zaczynam pracę w banku.

- Tak właśnie powiedział mi twój ojciec. Ale... ty

nie rozumiesz. Pobyt we Francji umożliwiło mi właśnie to, że pełnię posługę zakonną. Żeby przedłużyć więź, muszę mieć angaż.

- No to jedź z nami do St. Genes. - Przełożył nogi na brzeg łóżka, usiłując usiąść. - Załatwię ci pracę w biurze winnicy. Kierownikiem jest Yves Brouard. Zrobi dla mnie wszystko.

- A co z twoim bankiem?

- Postarałem się o tę posadę wyłącznie po to, by być blisko ciebie. Nie zacząłem jeszcze praktyki, więc powiem, że rezygnuję. Pokochasz nasz dom. Możesz zamieszkać w którymś z pokoiów gościnnych.

- Nie, Paul. Gdybym miała jechać do St. Genes, wynajęłabym sobie pokój w mieście, tak jak teraz w Paryżu.

Paul zastanawiał się nad czymś. Błyszcząły mu oczy.

- Na terenie naszej posiadłości stoi kilka domków, które w XIX wieku zajmowała służba. Monique i ja moglibyśmy ci wyszukać jeden z nich. Wynajęłabyś go poprzez naszego zarządcę, Bernarda Artois. On sam też mieszka z rodziną w takiej starej chałupie.

Przemyślał zatem wszystko. Jeśli ktoś czegoś bardzo pragnie...

- Jak daleko jest od was do miasteczka?

- Trzy kilometry.

- W takim razie gdybym kupiła używany rower, mogłabym bez problemu jeździć tam i z powrotem.

Chłopcu zajaśniały oczy.

- Monique ma kilka rowerów. Pożycz ci.

- Wiesz... Odłożmy może decyzję do jutra. - Hallie podniosła się.

- Nie idź jeszcze...

- Muszę. Takie są zalecenia twego lekarza. Wpadnę jutro. Zdrowiej. Dobrej nocy.

Wyszła szybko, nim zdążył wymyślić jakiś pretekst, by ją zatrzymać. Na jej widok Vincent i Monique podezwali się z ławki.

- Czy mógłbyś odwiedzić mnie do domu? - poprosiła Rollanda. - Mieszkam niedaleko od Tatiego.

- Miałem taki zamiar. - Patrzył na nią podekscytowany, jakby już z wyrazu twarzy chciał wyczytać wynik jej spotkania z synem.

- Jadę z wami - rzuciła szybko Monique, lecz Hallie zaoponowała.

- Paul nie śpi i potrzebuje towarzystwa. Ty przydasz mu się teraz najbardziej. Proszę. - Otworzyła torebkę i wyjęła marcepanowy batonik. - Spałaszowałam obiad twojego braciszka, bo nie chciałam jeść, ale myślę, że na to mógłby mieć apetyt.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- W razie czego sama skorzystam.

Vincentowi drgnęły usta w uśmiechu. Przeszli we troje pod pokój Paula. Ojciec uścisnął córkę.

- Wrócę niedługo.

Ujął Hallie pod ramię. Wyczuła, że pragnął jak najszybciej porozmawiać z nią w cztery oczy. Mogli to zrobić dopiero w samochodzie.

- Siedziałaś u Paula długo - powiedziała, wyjeżdżając z parkingu. - Było to pewnie dla ciebie trudne spotkanie. Przykro mi.

- Niepotrzebnie się martwisz. Mam tylko nadzieję,



że nie rozmyśliłeś się co do propozycji doktora Maurisa, bo byłoby poniewczasie. - Zaczerpnęła oddechu. - Wprawiałam sprawy w ruch.

Vincent zahamował ostro.

- To znaczy?

- Spełnię życzenie Paula. Pojadę na lato do St. Genes.

Zadźwięczał klakson. Vincent jednak siedział nieruchomo, jakby w ogóle nie docierało do niego, że tamuje ruch. W końcu opuścił szybę i dał znać niecierpliwicemu się kierowcy, żeby ich wyminął.

- A klasztor?

- Odkładam tę sprawę na później.

Rolland drgnął, włączył bieg i ruszył. Światło ulicznej lampy błysnęło w złotym zegarku na jego ręce i oświetliło długie, mocne palce. Hallie zauważyła, że nie nosił obrączki. Zafascynowana jego osobą, chłonęła wzrokiem sylwetkę mężczyzny, który po raz pierwszy od śmierci męża obudził w niej znowu kobietę. I co tu mówić o ludzkich słabościach...

- Powiedziałałam Paulowi, że będę w dalszym ciągu pełnić posługę dominikańską, ale planów wobec mnie nie zmienił...

- To jasne - wymruczał Vincent.

- Uważa wszystkie dotychczasowe marzenia za realne. Przed wyjściem od niego byłam bliska popełnienia błędu. Już miałam mu powiedzieć, że najpierw musimy uzyskać twoją zgodę.

- Dzięki Bogu, że tego nie powiedziałaś, bo wtedy na pewno nie pojechałyby do domu. Dziękuję ci, Hallie, za poświęcenie. Nie znajduję słów, by wyrazić, co czuję.

Hallie również nie umiała wyrazić swoich uczuć. W jej serce wstąpił nowy lęk. Wiązał się z Vincentem. Z tym mężczyzną z krwi i kości, którego zaczęła podziwiać wiele miesięcy przed tym, nim pewnego brzemienego w skutki wieczoru wdarł się w jej świat z siłą rozpędzonej komety.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Tato, już jestem! - zawołała Monique od progu.

- Chwila! - odkrzyknął, zasłaniając mikrofon słuchawki. - Przepraszam, doktorze. Słucham.

- Mówiłem właśnie, że skoro jutro rano wyjeżdżacie państwo do St. Genes, prześlemy kartę choroby Paula do szpitala w Bordeaux na ręce doktora Cluny. To znakomity psychiatra. Skonsultuję się z nim, żeby znał sprawę na bieżąco. A gdyby miał pan jakieś pytania, proszę bez oporów dzwonić do mnie.

- Dziękuję.

Monique wbiegła do pokoju. Z wyrazu jej twarzy ojciec odgadł, że chciałyby jak najprędzej porozmawiać. Uśmiechnął się do niej, szczęśliwy, że stosunki między nimi wyraźnie się polepszyły.

- Zanim się pożegnamy, chcę panu powiedzieć, że skutki dzisiejszych odwiedzin panny Linn są wręcz ołśniewające. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że nasz plan ma wielkie szanse powodzenia. Dobrą wróżbą na przyszłość jest również to, że kryzys minął bez konieczności szpicowania Paula silnymi lekami. Wkrótce pański syn odzyska równowagę psychiczną. Jestem tego absolutnie pewien.

Vincent nie miał zbyt dużej nadziei na odbudowanie dawnej więzi z Paulem. Za szczyt szczęścia uznałby już choćby powierzchowny, poprawny kontakt. Refleksję tę pozostawił jednak dla siebie. Syn żył i pragnął wrócić do domu. To i tak był cud. A wszystko dzięki bezinteresowności kobiety, która przedłożyła dobro Paula ponad własne potrzeby i cele.

- Jeszcze raz dziękuję, doktorze. Jestem panu bardzo wdzięczny. Do zobaczenia.

- Nareszcie! - odetchnęła głośno Monique, gdy wyłączył telefon. - Czy skontaktowałeś się z panem Gide'em?

- Owszem. Najpóźniej jutro rano otrzyma przelew. A Paul? Przyjął pierścionek? - W tej sprawie Vincent zdał się na córkę.

- Nie od razu. Dopiero kiedy powiedziałam, że prosisz, żebym go oddała, bo uważasz, że ma prawo zrobić z nim, co zechce.

- Dziękuję, maleńka. Zawsze mogę na ciebie liczyć.

- Tylko że... - Spojrzała ojcowi w oczy. - Tato, Hallie i tak nie przyjmie od niego tego pierścionka, nawet gdyby bardzo o to zabiegał.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

- Co zatem zmieniło się od czwartku? Tak chętnie zniknęłaś wtedy z domu, żeby mógł poprosić ją o rękę,

- Wszystko się zmieniło.

- Uzyskał to, czego pragnął. Czy o to ci chodzi? Będzie miał czas poznać Hallie bliżej bez obawy, że ona wyjedzie. Myślałem, że cię to ucieszy.

- Cieszę się, ale...
- Ale co?
- Nie wiem. Wszystko jest już nie takie, jak było.

Paul zmienił się.

Doktor Mauris powiedział Monique prawdę o wypadku brata. Nie wyjaśnił jej jednak powodów, dla których Hallie zdecydowała się jechać z nimi do St. Genes. Monique była z Paułem zbyt blisko. W chwili słabości mogłaby zdradzić mu coś, co przekreśliłoby obronę taktykę leczenia.

- Dlaczego tak uważasz?

- No, na przykład... Telefonował przy mnie do tego swojego banku. Dyrektor zirytował się, powiedział, że niepotrzebnie zawracał mu głowę. Paul odciął się niegrzecznie. Zupełnie jak nie on.

Psychiatra powiedział Vincentowi, że Paul musi wydorosnąć i zmierzyć się z światem rzeczywistym. I oto właśnie chłopiec zaczynał poznawać jego smak.

- Prawdopodobnie będziemy teraz świadkami wielu działań Paula, które wydadzą ci się niezgodne z jego charakterem. Wchodzi w dorosłość, poznaje jej prawa. Wszystko, co możemy zrobić, to kochać go jak dotąd i być przy nim.

Z oczu Monique popłynęły łzy. Rzuciła się ojcu w ramiona.

- Tak bym chciała, żeby to wszystko nigdy się nie stało.

Wyraziła dokładnie to, co odczuł sam, gdy dowiedział się od jubilera, że Paul kupił u niego pierścionek. Dziwne, ale teraz już tak nie myślał.

Były sprawy, o których jego dzieci nie wiedziały. Tajemnice, które dzielił wyłącznie z dziadkiem Maurice'em i które obaj przysięgli zabrać ze sobą do grobu, w przeświadczeniu, że tak będzie dla wszystkich najlepiej. Zajście z Hallie świadczyło jednak o niesłuszności takiego toku rozumowania. To, co się stało, wytrąciło Rollanda z głębokiego snu. Doktor Mauris nie wiedział o tym, ale gdy mówił, że Paulowi grozi w życiu nieuleczalne marzycielstwo, było tak, jakby charakteryzował nie syna, a ojca - osiemnastoletniego, bujającego w obłokach Vincenta.

Zakłamując przeszłość, to właśnie on, dojrzały już człowiek, odpowiadał za kryzys w rodzinie, który mógł trwać całe życie. Bez względu na konsekwencje jego dzieci powinny usłyszeć prawdę. Może wtedy zrozumiałaby, dlaczego w ów nieszczęsny czwartek zamienił się w potwora. Postanowił, że kiedy tylko znajdą się w domu, usiądzie z nimi i przerwie trwające osiemnaście lat milczenie.

Gdy Vincent przejechał swoim pięknym sedanem przez bramę posiadłości Rollandów, z ust Hallie wyrwało się westchnienie zachwytu. Po obu stronach alei prowadzącej do siedemnastowiecznego domu ciągnęły się rzędy zdrowych, ozłoconych słońcem winorośli. Żółtawe kamienne ściany lśniły w morzu zieleni. Hallie to zamykała, to otwierała oczy, jakby bała się, że to tylko sen.

- Mówiłem ci, że to piękne miejsce - odezwał się Paul, jak gdyby odczytywał jej myśli.

Potrząsnęła głową, oszołomiona widokami.

- Nie dziwię się, że nie mogliście się doczekać powrotu. To raj.

Raptem Monique opuściła szybę.

- Dziadek! - krzyknęła, machając. - Tato! Wypuść mnie. Jak dobrze być w domu.

Vincent zatrzymał samochód, a dziewczyna pobiegła przed siebie, w stronę starego człowieka z psem.

- Beauregard! - Beagle pognał do niej i nagle zderzyli się ze sobą, tworząc kłęb.

Hallie wybuchnęła śmiechem, a potem wzruszona, ze łzami w oczach obserwowała to radosne powitanie. Wkrótce dołączył do nich dziadek Maurice i cała rodzina splotła się w uściskach. Vincent zerknął na syna. Chłopcu błyszczały oczy.

- Chcesz wysiąść, czy obawiasz się zawrotów głowy?

- Już mi przeszły, mówiłem ci - odburknął Paul.

- Posiedzę z Hallie. Podwieź nas pod dom.

Hallie uznała, że chłopiec powinien teraz spędzić chwilę sam na sam z ojcem.

- Chętnie rozprostuję nogi - powiedziała szybko. - Nigdy w życiu nie szłam wśród winnic.

Zeskoczyła na drogę, zatrzasnąjąc za sobą drzwiczki.

Powietrze było łagodne, a na lazurowym niebie malowały się obłoki jak z obrazów Maneta. W swojej białej bluzce i szarej spódnicy Hallie poczuła się jak element pejzażu, jak nieważna, mało znacząca drobina, zaznaczona przypadkowym dotknięciem pędzla.

Zamiast pójść drogą, wybrała spacer między rzędami

wysokiej winorośli. Młodzi Rollandowie opowiadali jej często o rodzinnej winnicy. Gleba była tutaj żelazista i urodzajna. Można było uprawiać na niej różne gatunki winogron. Tłoczono z nich słynne markowe wino, tym droższe, im pochodzące ze szlachetniejszych odmian winorośli.

Vincent urodził się tutaj, uprawiał tę ziemię. Był plantatorem, tak jak przedtem jego dziadkowie. Takie dziedzictwo zobowiązywało i musiało uformować niezwykłego człowieka, mimo wyrzeczeń, na jakie skazał go ojciec, którego wola była tu jedynym prawem.

Pies podbiegł do niej, wyczuwając obcego. Podrapała go za uszami i pochwaliła. Polizał ją po rękach i łąsząc się jej do nóg, doprowadził do swoich państwa.

Stary Francuz był wysoki jak Vincent, ale trochę przygarbiony. Miał zaskakująco gęste siwe włosy, wymykające się spod typowego dla farmerów z tych stron brązowego beretu, i luźny sweter. Kiedy podeszła, spojrział na nią ciemnobrązowymi oczami, jakie mieli wszyscy Rollandowie.

- Beau polubił cię - powiedział. - Zobacz, jak macha ogonem.

Faktycznie, machał.

Monique i Hallie roześmiały się. Hallie ucisnęła dłoń dziadka Maurice'a.

- Tak się cieszę, że mogę pana poznać. Tyle się o pana nasłuchałam.

Patrzył na nią przyjaźnie, a jednocześnie wnikliwie, jakby stanowiła dla niego zagadkę, którą usiłował rozwiązać.



- Witam w St. Genes. Miło mi, panno...
- Mam tu pobyc przez pewien czas, proszę więc mówić mi po imieniu. Hallie.
- Allie - powtórzył.
- Nie, dziadku - sprostowała Monique. - Hallie. „H” jest dźwięczne.
- Oj, Monique - obruszyła się Hallie. - To nieważne. Proszę mówić, jak panu wygodnie... Jak się cieszę, że tu jestem! - Rozejrzała się wokół. - Pamiętasz - zwróciła się do dziewczyny - „Dźwięk muzyki” w angielskim przekładzie?
- Oczywiście.
- A pamiętasz tę frazę, gdy wuj Max mówi: „Och, jak ja lubię być u bogatych ludzi. Kocham patrzeć, jak żyją. Kocham swoje życie, kiedy jestem z nimi”. Tak właśnie się teraz czuję. -
- Stary Francuz odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał. Pies zaczął szczekać i skakać wokół nich.
- Co wam tak wesoło? - Vincent zbliżył się do nich, a Paul szedł za nim, zachowując dystans.
- Monique powtórzyła ojcu treść rozmowy.
- A już szczególnie zabawne jest usłyszeć coś takiego od zakonnicy.
- Vincent rozpromienił się. Szczery, szeroki uśmiech zupełnie go odmienił. Hallie pomyślała o sobie. Czuła, że w jej duszy dokonują się nieodwracalne zmiany.
- Panna Linn nie złożyła jeszcze ślubów wieczystych. .. - odezwał się ostrym tonem Paul. Wszyscy spojrzeli na niego.
- No, chłopcze, a może byś tak uściśnął starego -

powiedział dziadek. - Nie widzieliśmy się szmat czasu. Stęskniłem się za tobą.

Chłopiec poruszył grdyką.

- Ja za tobą też. - Był jak z drewna, póki dziadek nie wyciągnął do niego rąk. Nagle pękły tamy. Chłopiec rzucił się dziadkowi na szyję.

- Słyszę, że świetnie zdałeś egzaminy. Zuch z ciebie. Drugie miejsce w klasie w szkole o tak wysokim poziomie to naprawdę powód do dumy.

- Monique u siebie zdobyła najwyższe noty...

- Ojej, wygrałam tylko trzema punktami.

Hallie poczuła na sobie spojrzenie Vincenta. Leciutko poruszył głową, jakby chciał powiedzieć, że sprawy posuwają się we właściwym kierunku, bo oto jego syn znów rozmawia ze wszystkimi.

- Łacina u was - kontynuowała Monique - była na wyższym poziomie niż w mojej klasie. Gdyby Hallie nie pomogła mi zrozumieć zawiłości składni, z pewnością oblałabym egzamin.

Dziadek wypuścił wnuka z objęć i rozburzył jej ciemną czuprynkę.

- Nas uczył łaciny miejscowy ksiądz. Nie powiem, żeby mi to wiele dało.

Hallie uśmiechnęła się.

- Ja w swojej szkole w ogóle bym się jej nie uczyła, gdyby nie anglistka. Mówiła nam, że jeśli ktoś chce naprawdę zrozumieć angielski czy inny język zachodni, musi poznać łacinę. Okazuje się, że miała rację.

Paul wyglądał na śmiertelnie znudzonego tą rozmową o szkole.

- Hallie - wymruczał. - Chodźmy, pokażę ci naszą posiadłość.

- Przejdę się bardzo chętnie, ale chciałabym najpierw wejść do łazienki. Pozwolisz?

- Naturalnie. - Wyraźnie się zmieszał. - Przyniosę twój bagaż.

- Lepiej, żeby się tym zajął Gaston - sprzeciwił się dziadek Maurice. - Dopiero co wyszedłeś ze szpitala.

- Nie jestem kaleką - odburknął chłopiec.

- Ale możesz nim zostać, jeśli nie będziesz zachowywać się rozsądnie. Chodź. Coś ci pokażę.

Monique prędko ucałowała ojca i dziadka i pociągnęła Hallie za rękę.

- Pójdziemy do mojego pokoju. Będziesz w nim na razie spać.

- Tylko klika nocy - przypomniał siostrze Paul. - Potem wprowadzi się do własnego domku. Dzwoniłem z Paryża do Bernarda. Już go zaczął szykować.

- Wiem - mruknęła Monique i poprowadziła Hallie przez dziedziniec. Pies pobiegł za nimi.

Hallie bardzo się cieszyła, że może uniknąć napięcia. Nie zazdrościła Vincentowi, który musiał obchodzić się z Pauliem jak z jajkiem. Dziadek Maurice znajdował się w łatwiejszej sytuacji. Mógł bez obaw mówić, co uznał za stosowne, gdyż wnuk nie uważał go za swego wroga. Na myśl o tym wszystkim aż zadrżała.

- Coś nie tak? - Monique była bystra.

- Ależ skąd. Tak tu pięknie, a kiedy sobie uświadamiam, że urodziliście się tutaj i wychowaliście.

- Bądź ze mną szczerą, Hallie. Nie jest dobrze i obie

o tym wiemy. Mój brat jest chory, wiem to od lekarza, ale faktycznie ciężko znosić jego fochy.

- Rozumiem, co czujesz.

- Hallie... - Dziewczyna zwolniła nagle. - Dlaczego tu przyjechałaś? Ale tak naprawdę.

Spodziewała się tego pytania. Powinna powiedzieć Monique tyle, ile mogła.

- No cóż... Kiedy się dowiedziałam, że Paul świadomie doprowadził do wypadku, uznałam, że jest w tym i moja wina. Jednakże osobą, na którą zwałił się cały ciężar winy, jest twój ojciec. Ogromnie cierpi, i to mnie boli. Rozmawiałam o tym z matką przełożoną. Uznała, że powinnam odłożyć na później powrót do Kalifornii po to, żeby twój brat uwierzył, że nie mam pretensji do waszego taty. Paul musi zrozumieć, że wybaczyłam. W przeciwnym razie żaden z nich nie będzie nigdy szczęśliwy. Jeśli potrafię pomóc w odbudowaniu więzi między nimi, to zrobię to. Vin... wasz ojciec żałuje tego, co się stało, bardziej niż to sobie wyobrażacie.

Monique skinęła głową zamyślona. Zgodnie weszły do domu i dziewczyna przedstawiła swego gościa starej gospodyni i jej mężowi. Etvige i Gaston powitali Monique jak kochający dziadkowie. Beauregard wbiegł na kręte, piękne schody. Jak to pies, nie zaprzętał sobie głowy tym, że nie wszystkie stworzenia, małe czy duże, mogłyby nazywać takie miejsce swoim domem. Nie był to co prawda Wersal, ale domostwo to miało dla Hallie szczególnie charakter, gdyż stanowiło siedzibę rodu Rolandów.

Tutaj mieszkał Vincent... W głowie Hallie tłuło się pytanie Monique: „Powiedz, dlaczego tak naprawdę tu przyjechałaś?”. Miała nadzieję, że zrobiła to z powodów, które przedłożyła swej młodej przyjaciółce, i dlatego że pragnęła, by sprawdziała się hipoteza doktora Maurisa. Ale jeśli istniała też inna przyczyna? Vincent... Co będzie, jeżeli się okaże, że przyjechała tu, ponieważ... Nie! Nie wolno jej było tak myśleć.

.- Hallie...

- Przepraszam, grzebię się. Tyle tu jest do oglądania, że mam zamęt w głowie.

Dogoniła dziewczynę na pięterku. Monique wyjaśniła, że jej mieszkanie znajduje się z lewej strony schodów, pokoje ojca i Paula są po prawej, a dziadek zajmuje dół domu, co oszczędza mu uciążliwego chodzenia po schodach.

- Twoje mieszkanie jest obszerniejsze niż cały dom większości ludzi - powiedziała Hallie, gdy po paru minutach wyszła z łazienki.

- To samo mówią moi znajomi, gdy zatrzymują się u nas na noc. Wyprawiałam tu duże imprezy, a potem wszyscy spali w śpiworach. Ciężko mi było przywyknąć do dziupli w internacie. Kocham przestrzeń.

Siedziała na swoim łóżku, przyciskając do piersi poduszkę. Pies usadowił się obok niej i bawili się w wojnę, tarmosząc pluszową zabawkę. Hallie podeszła do okna, z którego roztaczał się widok na winnice. Na ten pejzaż mogłaby patrzeć całą wieczność. Zobaczyła Paula i dziadka. Szli w kierunku małych domków. Vincent zniknął gdzieś. Nagle zatęskniła za nim. Tak czekał na

ów dzień powrotu dzieci do domu, a tymczasem upragniona chwila zamieniła się w koszmar, który mógł trwać bardzo długo.

Zadzwoił telefon. Hallie odwróciła głowę w stronę Monique, która sięgnęła po aparat stojący przy łóżku, i krzyknęła z radości: „Suzette!”. Łatwo się było domyślić, że rozmowa potrwa dłużej. Suzette była najlepszą przyjaciółką Monique. Przez cały rok szkolny wysyłały do siebie maile, a teraz mogły się wreszcie nagadać. Paul również powinien побыć wśród swoich tutejszych znajomych.

Hallie szepnęła, że będzie na dole, i wyszła z pokoju. Zamierzała się przejść, ale ledwie znalazła się na korytarzu, zobaczyła Vincenta. Wbiegał po marmurowych schodach, przeskakując lekko po dwa stopnie. Obserwowanie go było czystą poezją. Raptem zauważył Hallie i zwolnił. Odniosła wrażenie, że chłonie wzrokiem jej postać i jest zbity z tropu. Zadrzała.

- Monique rozmawia przez telefon z Suzette, pomyślałam więc, że trochę się rozejrzę - powiedziała z nadzieją, że nie zabrzmiało to nerwowo. - Czy mogę?

- Naturalnie. Czuj się tutaj jak we własnym domu. - Potarł dłonią kark bezwiednym gestem, który zdążyła już u niego zauważyć i który powtarzał zawsze, gdy myślał o czymś poważnym. - Skoro jednak możemy być przez chwilę sami, chciałbym omówić z tobą coś istotnego. Tutaj nie da się rozmawiać. Chodź.

Przytrzymał ją pod łokieć i sprowadził na dół. Weszli do alkowy za francuskimi drzwiami, a stamtąd do dużego pomieszczenia. Znajdowały się w nim przepiękne

meble, a ściany zdobiły obrazy przedstawiające majątek Rollandów. Malowano je w różnych okresach, najstarsze pochodziły z XVIII wieku. Był też portret, który od razu wzbudził zainteresowanie Hallie. Przedstawiał ponurego szlachcica o ciemnych włosach i oczach jak szparki. Na mosiężnej tabliczce wygrawerowano podpis: „Le Duc de Rolland”.

- Monique uważa, że jest wstrętny - odezwał się Vincent. - Trzymamy go tutaj, a nie w bibliotece na dole, żeby nie straszył gości. Z tego, co wiem, nasz protoplasta był przerażającym człowiekiem. Myślę, że mój ojciec odziedziczył po nim pewne geny. Po tym, co się stało, jestem pewien, że moje dzieci mówią to samo o mnie.

Hallie spoważniała. A zatem Vincent przyprowadził ją do tego pokoju nieprzypadkowo. Odwróciła się do niego.

- Co takiego zrobił twój ojciec, że przez tyle lat tak cię to przygniata?

Vincent spuścił głowę. Nie widziała jego twarzy, lecz to, co działo się w jego duszy, odbiło się w tonie głosu.

- Mój ojciec był trudnym człowiekiem, ale nie jest winien błędów, jakie popełniłem. Sam nawarzyłem sobie piwa.

Podeszła bliżej.

- Jakie to były błędy?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Kiedy tamtego wieczoru przyłapałem cię z Pauliem, było tak, jakby nagle czas odwrócił swój bieg 2 jakbym miał znów osiemnaście lat, tak jak teraz mój syn. Zobaczyłem siebie w pokoiku jednego z tych domków, w których mieszkali nasi robotnicy. Taka sama butelka szampana, kieliszki... Zamiast pierścionka wartego dziewięć tysięcy euro - diamentowe kolczyki za ogromną sumę, którą pożyczyłem, dając w zastaw ziemię, byle tylko móc obdarować moją ukochaną.

Święty Boże! Hallie zacisnęła dłoń na oparciu stylowego krzesła.

- Różnica była tylko taka, że kobieta, którą trzymałem wtedy w ramionach, była niewiarygodnie urodziwą wiedźmą o włosach czarnych jak noc, a nie skromną blondynką jak ty. Arlette była ode mnie dziewięć lat starsza. Była wdową. Jej mąż zmarł na serce. Podobałem się jej, a mnie, chłopaczkowi, który dopiero zaczął smakować życie, szalenie to pochlebiało. Pewnego popołudnia poprosiła, żebyśmy poszli razem popływać i jej namiętna odpowiedź na moje pierwsze w życiu, niezdarne zbliżenie z kobietą zupełnie mnie oszołomiła. .. Potem na widok każdego mężczyzny próbującego



ją poderwać, dostawałem szału z zazdrości. Zaprzedałbym duszę diabłu, żeby tylko z nią być - w jej ramionach, w jej łóżku. Trwało to kilka miesięcy. Nie było nic, czego bym nie zrobił, by udowodnić jej swoje absolutne oddanie. Oprócz diamentowych kolczyków dostała ode mnie pieniądze na wynajem domku. Utrzymywałem ją. Straciłem zainteresowanie nauką i rodzinnymi interesami. Stałem się niewolnikiem wdzięków Arlette. Po zmroku wykradałem się z domu i biegłem do niej. Myślałem, że jestem sprytny i nikt nie wie o moich nocnych eskapadach. Ojciec w tym czasie podupadł na zdrowiu, miał chorą wątrobę. Dziadek Maurice żył wtedy na uboczu, pogrążony w żałobie po babci, która zmarła na zapalenie płuc.

Dopiero kiedy ojciec był już bliski śmierci, dowiedziałem się, że wiedział o moim romansie. Ostrzegł mnie, że Arlette zależy wyłącznie na majątku, mówił, że powinienem ją rzucić. Uznałem jego przestrogi za zrzęczenie człowieka, który nie umiał być szczęśliwy i któremu moje szczęście jest obojętne. Zaskoczył mnie, gdy tuż przed śmiercią poprosił mnie o wybaczenie. Zaraz po pogrzebie zacząłem przymierzać się do ślubu z Arlette, lecz nasz ksiądz pobiegł do dziadka Maurice'a, a ten nie dopuścił do uroczystości. Byłem zaskokowany... Kochany dziadek zawsze starał się mi ulżyć, tym razem jednak był nieugięty. Mówił o Arlette dokładnie to samo co ojciec, a nawet gorzej. Dowiedział się, że uciekła z domu jako nastolatka i miała tabuny kochanków. Twierdził, że nie jest warta ucałować ziemi, po której chodzę, i pod groźbą wydziedziczenia zakazał

mi się z nią spotykać. W tamtym czasie nic mnie nie obchodziła ani przeszłość Arlette, ani moja scheda. Pragnąłem wyłącznie jednego - być z nią. Zaproponowałem, żebyśmy stąd uciekli i wzięli ślub, mówiłem, że zapracuję na nas gdziekolwiek. Dopiero wtedy przyznała mi się, że jest w ciąży. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem. W tej sytuacji - wierzyłem zaślepiony - musieliśmy się pobrać, i to z błogosławieństwem dziadka. Wnuk był już przecież w drodze. No i stało się. Ksiądz dał nam ślub, ale moje szczęście nie trwało długo. Nie chciałem cię obciążać brudami, ale... Arlette przestała ze mną sypiać. Myślałem początkowo, że to dlatego, że męczyły ją poranne mdłości. Wkrótce jednak dotarło do *mnie*, że wyjeżdżała do miasta i spotykała się z innymi mężczyznami. Zażądałem wyjaśnień. Przyznała, że to prawda, że wykorzystała mnie, zakochanego chłopaczka, dla forsy. Zaczęły się koszmarnie awantury. Wykrzyczałem, że nie będę dalej jej utrzymywać. Zagroziła usunięciem ciąży.

Hallie jęknęła.

- Rozumiem teraz, dlaczego uznałeś, że i ja mogę być w ciąży.

Popatrzył na nią twardo.

- Owszem, tyle że nie pomyślałem, że mam do czynienia z aniołem dobroci, a nie z latawicą i cwaniarą, jaką okazała się moja żona... Osiemnaście lat temu wydawało mi się, że oszaleję, ponieważ dziecko, które miało się urodzić, było dla mnie skarbem. Jediną czystą, niezafałszowaną konsekwencją naszego związku. Pragnąłem, żeby się urodziło. Za wszelką cenę. Byłem

tak zdesperowany, że poszedłem po radę do dziadka. Ulitował się nade mną. Poszliśmy we dwóch do naszego prawnika, a ten wystawił dokument, na mocy którego moja dziedziczna część winnicy przeszła na własność Arlette. W zamian za to moja żona miała urodzić dziecko, zostawić je pod moją opieką i nigdy nie próbować zobaczyć się ze mną ani z naszym potomkiem.

- Zgodziła się na takie warunki?

- O, tak. Z największą ochotą. Jeśli nawet do tej pory gdzieś w głębi duszy przechowywałem dla niej resztki uczucia, to w tym momencie wszystko to zostało zabite. Powiła bliźnięta i przez pewien czas pozostawała w szpitalu. Wylizwała się, ale nigdy nie przytuliła żadnego ze swych dzieci do serca.

Hallie, wstrząśnięta, pokręciła głową.

- Ale... Monique i Paul mówili mi, że ich mama zmarła przy porodzie.

- Tak im powiedziałem. Chciałem, żeby żyły w tym przeświadczeniu.

- Czy... czy ona...

- Dzięki Bogu nie żyje.

- W takim razie... nic już z tego nie rozumiem.

- Niecały rok później dowiedziałem się przez naszego prawnika, że rozpuściła cały majątek i zginęła w wypadku tramwajowym razem ze swym kochankiem. Przyjąłem tę wiadomość z nieprzyzwoitą wprost radością. Arlette odeszła z tego świata, nie mogła więc już skrzywdzić ani mnie, ani dzieci. Zacząłem wracać do równowagi, do świata żywych ludzi.

- Byłeś taki młodziutki... - Hallie spojrzała na nie-

go prawie z łękiem. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak przetrwałaś to straszne doświadczenie.

- Nie żałuj mnie. Fakt, wziąłem wszystko na siebie, ale nie zostałem bez pomocy. Dziadek nie cackał się ze mną, ale dzieciaki pokochał całym sercem. Żeby spłacić Arlette, sprzedaliśmy co prawda pół winnicy, ale została nam druga połowa i dom. We dwóch chowaliśmy maluchy i prowadziliśmy interesy. Dziadek niańczył bliźniaki, a ja jeździłem do Bordeaux na uczelnię. Zrobiłem dyplom. Harowałem w dzień i w nocy, by rozwinąć plantację. Powoli odrobiliśmy straty i mogłem skupić się na dzieciach. Postanowiłem, że kiedy dorosną i zaczną pytać, powiem, że zostały poczęte z miłości, ale śmierć przy porodzie odebrała *im matkę na zawsze*. Nie chciałem, żeby prawda okaleczyła je na całe życie.

Hallie otarła mokre od teź policzki.

- Uspokój się - powiedział łagodnie. - Minęło przecież osiemnaście lat. Żyliśmy tu jak u pana Boga za piecem, aż...

- Aż do tamtego czwartku - dokończyła. - Co ja narobiłam! Nie powinnam dać się namówić Monique na te urodziny. Ale... Pomyślałam, że zobaczę się z nią i Paulem jeszcze ten jeden ostatni raz.

Vincent pokręcił głową.

- To nie miał być ostatni raz. Znam swego syna. Pojechałby za tobą na koniec świata. Ale cóż, stało się inaczej. Paul znalazł radykalny sposób na ściągnięcie cię do St. Genes.

- Musisz wyjawić swoim dzieciom to, co mi powiedziałeś.

- Mam taki zamiar, ale chciałem wiedzieć, czy to aprobujesz.

- Całkowicie! Przecież twoja historia wszystko wyjaśnia. Paul zrozumie, że próbowałeś zapobiec powtórzeniu się tragedii. Wybacz ci. Monique też,

- ' Uważasz, że prawda nas wyzwoli?

- Tak.

- Tylko jak z tej wolności skorzystają moje dzieci? Może uznają, że mają prawo mnie znienawidzić? Żyliśmy w kłamstwie tyle lat...

- W takim razie musiałyby znienawidzić również dziadka Maurice'a. Podtrzymawał twoją wersję.

- Zostaw go, to święty człowiek. O jedno jestem jednak teraz mądrzejszy - wyświadczamy dzieciom niedźwiedzią przysługę, gdy budujemy im świat bez trosk. Paul uważa, że jeśli się czegoś pragnie, to wystarczy chcieć, a już się to ma. Jest taki sam jak ja w jego wieku. Marzyciel!

- Może właśnie dlatego - Hallie popatrzyła Vincencowi w oczy - twój ojciec prosił cię przed śmiercią o wybaczenie. Prawdopodobnie zrozumiał, że wiążąc cię ze sobą w najlepszych intencjach, wyrządził ci krzywdę. Gdyby dał ci więcej wolności, żyłbyś normalniej, jak twoi koledzy. Ale wtedy nie miałbyś Paula i Monique. Nie wyobrażam sobie świata bez nich.

- Ja również - odpowiedział wzruszony.

Wsunęła ręce do kieszeni spodnicy.

- Kiedy zamierzasz powiedzieć im całą prawdę?

- Myślałem, żeby zrobić to dziś, po kolacji.

- Świetnie.

- I tak już jestem na dnie. Jeżeli faktycznie istnieje szansa uzdrowienia naszej rodziny, gotów jestem odstąpić się całkowicie.

Hallie szczerze go podziwiała.

- Chciałabym ci pomóc... Tylko jak?... Czy dziadek gra w szachy?

- Owszem. Bardzo to lubi. A czemu pytasz?

- Przy kolacji zaproponuję mu partyjkę. To na wypadek, gdyby Paul zechciał zabrać mnie na spacer. W ten sposób uwolnię go od siebie i będziesz mógł poprosić go razem z Monique na rozmowę.

- Znakomicie. - Vincentowi zabłyśły oczy.

- Tato! - Dobiegło do nich wołanie Monique. - Tato, gdzie jesteś? - Stała chyba pod drzwiami.

- Idę, maleńka. - Spojrzył na Hallie. - Pójdziemy?

Wyszli na korytarz, ale gdy Hallie zauważyła, jakim wzrokiem patrzy na nich Monique, poczuła się niepewnie, jak ktoś przyłapany na nieuczciwości. Jeśli Vincent miał podobne wrażenie, nie dał po sobie nic poznać. Uścisnął córkę.

- Wiesz, jakie to wspaniałe uczucie móc znowu słyszeć w domu twój głosik? Jak ci tu teraz jest?

- Genialnie.

- Co u Suzette?

Hallie zajęła się Beauregardem. Bawiąc się z nim, została z tyłu. Obecność psa bardzo się teraz przydała. Pozwoliła chwilowo wyłączyć się z rodzinnych spraw Rollandów i odetchnąć.

- O, jesteś! - Z pokoju Monique wyszedł Paul. - Wszędzie cię szukam.

Hallie ogarnęło znów dziwne poczucie winy.

- Twój tato pokazywał mi ten słynny portret waszego przodka. Mówiliście, że wywodzicie się ze szlacheckiego rodu, przyznam jednak, że waszego protoplastę wyobrażałam sobie całkiem inaczej.

- Monstrum! - stwierdziła z obrzydzeniem Monique.  
- Wierzyć mi się nie chce, że to nasz krewny.

Vincent wybuchnął śmiechem, ale Paul ledwie się skrzywił. Tymczasem w jadalni czekała już Etvige z kolacją.

- Minou - powiedziała - przyszykowała wasze ulubione escalope de veau, a na deser ciasto ze śliwkami.

- Czekałam na to całe dziewięć miesięcy! - zawołała Monique. - Och, Hallie! Nasza Minou gotuje fantastycznie. Nikt nie piecze lepszego chleba. A jej bagietki prosto z pieca to czysta poezja. O la la!

Pół godziny później Hallie miała okazję się przekonać, że Monique nie przesadzała ani trochę. W życiu nie uraczono jej smaczniejszym posiłkiem. Paul prawie się nie odzywał, jego siostra natomiast bawiła wszystkich opowiadaniem o szkolnych przygodach.

Byli właśnie przy cieście, gdy do Paula przyszedli goście. Po okolicy rozeszło się już, że młodzi Rollandowie wrócili z Paryża. Dwaj przyjaciele Paula przyjechali więc na skuterach i chcieli zabrać go na przejażdżkę. Chłopiec nie wyglądał na specjalnie uradowanego, toteż ojciec wystąpił w roli gospodarza.

- Luc, Jules, witajcie. Poznajcie się, to Hallie Linn, przyjaciółka Paula i Monique z Paryża.

Francuscy młodzieńcy, w skórzanych kurtkach i pod-

koszulkach, byli zwyczajnymi wesołymi nastolatkami. Jeśli nawet zauważyli, że Paul jest trochę drętwy, nie-specjalnie się tym przejęli. Luc żartował z Monique, a ta odpłacała mu docinkami. Jules natomiast zajął się Hallie. Zarzucał ją pytaniami i w końcu zaproponował, żeby razem z nimi wybrała się do miasta.

Paul zaprotestował od razu.

- Mielіśmy obejrzeć domek, który dla niej szykujemy. Może innym razem, chłopaki.

- Nie, nie - sprzeciwiła się Hallie. - Wiesz, Paul, przełożmy to na jutro. Prawdę powiedziawszy, miałam nadzieję, że po kolacji wasz dziadek poduczy mnie grać w szachy. Słyszałam, że to mistrz.

Staruszkowi zabłyśły oczy.

- Będzie to dla mnie wielka przyjemność. Paul, jedź, zabaw się z przyjaciółmi.

Hallie spotkała się wzrokiem z Vincentem, po czym przeniosła spojrzenie na Maurice'a.

- Nie ma pewności, czy to będzie dla pana aż taka frajda. Jestem okropnie tępa w grach wymagających strategicznego myślenia, ale chciałabym posiąść tę sztukę.

Minou podała wszystkim dokładkę ciasta. Chłopcy pochłonęli swoje porcje natychmiast i zabierając Paula, wyszli z pokoju.

- Chodź, maleńka - odezwał się Vincent do Monique. - Zapraszam cię do siebie na górę. Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

Dziadek wolno podniósł się od stołu.

- Zostań tu, Anie. Pójdę tylko po szachy, zaraz wracam.



Vincent położył dłoń na jego ramieniu.

- Coś mi mówi, że Hallie zna szachy lepiej, niż twierdzi.

Uśmiechnęła się leciutko, ale nie ośmieliła się spojrzeć na Vincenta. Jeśli nawet rozmowę z Pauliem musiał przełożyć na kiedy indziej, zamierzał zwierzyć się córce. Postępował słusznie, ale mimo to denerwowała się o niego.

Dziadek Maurice grał w szachy rzeczywiście wspaniale i okazał się przeuroczym kompanem. Około jedenastej uznali, że czas spać i postanowili dokończyć partię wieczorem następnego dnia.

- Hallie... Śpisz?

Zegar wskazywał trzecią nad ranem. Blisko cztery godziny Hallie cała w nerwach czekała, aż Monique przyjdzie położyć się spać, ale nie chciała, by dziewczyna się tego domyśliła.

- Już nie - wymruczała sennym głosem i zapaliła lampkę przy łóżku.

Monique miała na sobie długą nocną koszulę. Była blada i splekana.

- Przepraszam, ale muszę z tobą porozmawiać.

- No to chodź na moje łóżko. - Hallie przesunęła się i podkuliła nogi. - Siadaj. Co się stało?

- Tato opowiedział mnie i Paulowi o latach swojej młodości, o ojcu i o... o naszej mamie. Przyznał, że zwierzył ci się ze wszystkiego, ponieważ na to zasługujesz i chciał, żebyś zrozumiała, dlaczego potraktował cię tak okrutnie.

- Wasz ojciec jest naprawdę niezwykłym człowiekiem. Mówienie o przeszłości w tak bolesnej sytuacji wymagało od niego wielkiej odwagi.

Monique zwiesiła głowę.

- Zawsze mnie dziwiło, że się powtórnie nie ożenił. Cieszyłam się z tego, ponieważ nie chciałam, by w naszej rodzinie coś się zmieniło.

Hallie współczuła jej całym sercem. Miała ochotę utulić to zranione dziecko, lecz tylko podciągnęła wyżej kolana i kurczowo objęła je rękami.

- Czym przejąłeś się najbardziej?

Monique milczała długo.

- Tym, że... że - wybuchnęła - mogłabym kiedyś być taka jak mama,

A zatem modlitwa Hallie została wysłuchana. Monique nie obróciła się przeciw ojcu.

- Możesz być z siebie dumna. Odziedziczyłaś jej najlepsze cechy i urodę, wszystko, co oczarowało twego ojca. Nigdy nie zapomnij, że kiedy się poznali, kochał ją gorąco i prawdziwie. To ważne. Ale... Monique... nie mogłaś odziedziczyć po niej jej nieszczęsnego losu, wynikającego z wychowania. Dziecku należy wpoić zasady. W rodzinie twojej mamy musiało się dzieć niedobrze, skoro uciekła z domu. Dlatego stała się taką, a nie inną osobą. Z pewnością nie miała ojca, który byłby dla niej opoką i przewodnikiem, takim jak twój tato dla was.

- Nie ma nikogo takiego jak tato.

- Zgadza się. A jak dobrze się zastanowisz, ojciec twojego taty--- nieważne, jakim był despota - musiał zrobić dużo dobrego, skoro wychował takiego człowie-

ka jak wasz ojciec. Ty i Paul zostaliście obdarowani miłością, jaką powinno otrzymać każde dziecko. To oczywiste. Jesteście oboje tak wyjątkowi, że przerastacie o głowę wszystkich waszych znajomych, jakich poznałam w Paryżu. Sprawiliście, że was pokochałam, choć nie powinnam...

- Dziękuję - szepnęła Monique. - Ja też cię kocham.

Objęły się spontanicznie i siedziały w ciszy. Kiedy Monique przeniosła się na swoje łóżko, Hallie zgasiała lampkę i okryła się kołdrą. Wiedziała już, że dziewczyna poradzi sobie psychicznie. Myślała o Vincencie. W jakim stanie ducha był teraz? A Paul? Ciekawe, jak zareagował, dowiedziawszy się prawdy o matce. Hallie wtuliła twarz w poduszkę i zapłakała.

Vincent usiłował zasnąć, ale o świcie poddał się. Zwlókł się z łóżka, wziął prysznic i przed siódmą, ogolony, w świeżej sportowej koszuli i dżinsach, zszedł na dół. Miał nadzieję, że Hallie już wstała. Musiał z nią porozmawiać, gdyż Paul po wyjściu Monique powiedział mu masę niepokojących rzeczy. Zazwyczaj tak spontaniczna, a niekiedy również bezwzględnie szczerą była jego córka. Tej nocy stało się jednak inaczej. Wymknęła się od niego jak widmo, blada i milcząca, a Paul odpowiedział agresywnie. Na wynurzenia, które tyle kosztowały Vincenta, zareagował nonszalancko, a rozmawiać chciał, owszem, ale o Hallie.

- Przykro mi, że nie ułożyło się wam z matką jak należy, nie rozumiem jednak, dlaczego posunąłeś się do kłamstwa.

- Próbowałem uchronić was przed cierpieniem, to jasne.

- Mam w nosie twoją tak zwaną troskę. Mnóstwo chłopaków z mojej szkoły w Paryżu przeżyło podobne historie. Nawet matka Luca wykołowała jego ojca. Zdarza się... Rzecz w tym, że Hallie w niczym nie przypomina twojej byłej żony. Owszem, jest ode mnie starsza, ale wcale mi to nie przeszkadza, podobnie jak ciebie nie obchodziła różnica wieku między tobą a mamą. I jeszcze jedno. Hallie była już mężatką, i to szczęśliwą.

Takich rewelacji Vincent się nie spodziewał. Nie rozumiał, dlaczego wiadomość ta aż tak go poruszyła, lecz poczuł się dziwnie zakłopotany.

- Mąż Hallie umarł nagle, więc niech ci się nie wydaje, że po prostu zachciało jej się innego mężczyzny. Obecnie sama nie wie, czego chce. Uczciwie mi to powiedziała. Dlatego zgodziła się przyjechać do St. Genes. Dojrzewa do nowej miłości. Pokocha mnie, zobaczysz. Nie tak jak niegdyś męża, to jasne, ale jestem gotów czekać. Kiedyś przestanie wreszcie wszędzie go widzieć i dostrzeże mnie. Została zakonnica bezhabitu - wąż po to, by służyć ludziom, uporać się z własnym cierpieniem. - Obrzucił ojca złośliwym spojrzeniem. - Jakos trudno mi dopatrzeć się podobieństwa między nią a moją mamuszką. Jestem wdzięczny losowi, że zajęła się służbą Bogu. Inaczej nigdy bym jej nie poznał. Powiem ci jednak najzupełniej szczerze - uważam, że życie w zakonie to coś nie dla niej i zamierzam to udowodnić! - Rozsierdzony, wybiegł z sypialni ojca i trzasnął drzwiami.

- Etvige... - Vincent rozejrzył się po kuchni. - Nie widziałaś gdzieś Hallie?

- Owszem, była tu niedawno. Powiedziała, że wybiera się do miasta.

Vincentowi załomotało w skroniach.

- A dzieciaki? Schodziły już na dół?

- A skądże! Śpią jak susły. Podać panu kawę i maślane bułeczki?

- Nie, dzięki. Jadę w interesach do Libourne. Powiedz dzieciom, że wrócę na kolację.

Parę minut później zobaczył z samochodu jasnowłosą kobietę. Szła szybkim krokiem. Była w tenisówkach, zwykłej spódnicy i w bluzce, na którą zarzuciła lekki sweterek. Nie mógł oderwać oczu od jej zgrabnej sylwetki i długich nóg. Nigdy nie podrywał cudzych żon, lecz raptem pozazdrościł mężczyźnie, który niegdyś miał prawo być z nią w dzień i w nocy. Jej mężowi, znającemu ją całą, w każdym sensie...

Teraz, gdy wiedział już, że Hallie była mężatką, myślał o niej inaczej niż przedtem. Do tej pory zaliczał i ją, i swego syna do tej samej kategorii istot - młodych, niewinnych, niedoświadczonych. Nic dalszego od prawdy! Zarówno w przypadku Hallie, jak i być może w przypadku Paula. Syn interesował się dziewczętami już jako szesnastolatek, ale - o ile Vincent się orientował - z żadną się nie związał. Nie oznaczało to jednak wcale, że przed wyjazdem do Paryża chłopiec nie przeżył pierwszego zbliżenia z kobietą. Oby tak się nie stało. Prowadzili ze sobą długie rozmowy na temat moralności i niebezpieczeństwa rozpoczynania współżycia

w zbyt młodym wieku. Te same przestrogi usłyszała z ust ojca Monique. Zakładał, że jest jeszcze dziewczcą, ale co tak naprawdę może wiedzieć rodzic.

Przeżył szok, gdy dowiedział się, że jego syn kupił ukochanej zaręczynowy pierścionek wart dziewięć tysięcy euro. Paul kochał Hallie. Pożądał jej... A teraz... Vincent uzmysłowił sobie nagle, jak dalece sam dał się owładnąć intymnym pragnieniom związanym z tą kobietą, i zrobiło mu się gorąco.

- Vincent? - Otrzeźwiał na dźwięk jej głosu. Stała na poboczu drogi za mostkiem, chcąc przepuścić samochód. Kiedy zahamował, podeszła i otworzyła drzwiczki. - Szukałeś mnie?

Pytaniem tym stawiała go w dwuznacznej sytuacji. Czy miał skłamać i zaprzeczyć, ponieważ czuł, że przebywanie z nią sam na sam było czymś niewłaściwym? Nachyliła się i poczuł, że nie potrafi się obronić przed jej czystym, ufnym spojrzeniem.

- Tak - przyznał napiętym tonem. - Myślałem, że jesteś w domu, na dole, ale Etvige powiedziała, że już wyszłaś.

- Postanowiłam pójść do kościoła, skupić się i pomyśleć, co dalej.

Być może i on tego potrzebował.

- A gdybyśmy tak najpierw przejechali się trochę i porozmawiali? Potem wstąpiłbym z tobą do kościoła.

Odczuł w niej wahanie, lecz wsiadła do samochodu. Vincent zakręcił i zawrócił przez mostek.

- Skoro tu jesteś, powinnaś zobaczyć pewien zakątek. To niedaleko, nad rzeką. - Skręcił i przez pewien

czas jechali przez pola i winnice. Zatrzymał wóz w miejscu, z którego roztaczał się widok na zakole rzeki Dordogne. Rzędy upraw schodziły nad samą wodę. Prąd był tu łagodny, rzeka lśniła jak lustro. Odbijały się w niej drzewa i obłoki.

Vincent zerknął na Hallie, ciekaw jej wrażenia. Nie wiadomo dlaczego zapragnął, by odebrała ten widok tak samo jak on.

- Ależ tu pięknie! - powiedziała z zachwytem. - Aż wierzyć się nie chce. Po prostu bajecznie. - Podniosła wzrok. - Czy to tutaj...

- Nie. Nigdy tu nie przychodziliśmy pływać. Tutaj jest za głęboko i niebezpiecznie.

- Nie było moją intencją przypominać ci Arlette - zapewniła cicho. - Nie jestem aż tak nietaktowna. Pomyslałam, że może było to twoje ulubione kąpielisko i pływałeś tu z kolegami.

Boże wielki! Co się z nim działo?!

- Przepraszam cię, Hallie, jeśli poczułaś się urażona. Teraz, kiedy moje dzieci znają już prawdę o swojej matce, chciałbym na zawsze zamknąć tamten rozdział życia.

- Nie mam do ciebie pretensji.

- Ale czy potrafisz mi wybaczyć?

Podniosła głowę i zobaczyła, że płoną jej oczy.

- Jak w ogóle możesz pytać? Czy nie rozumiesz, że jestem twoim przyjacielem?

Przyjacieli... Odczuł palące pragnienie, by była dla niego kimś więcej niż przyjazną duszą. Pragnął...

- Opowiedz, jak zareagował Paul. Żałował, że zburzyłeś mu obraz matki?

Vincent oddychał ciężko.

- Przyjął wszystko łatwiej, niż mogłem sobie wyobrazić.

- Monique też. Przed snem, po długiej rozmowie ze mną, powiedziała: „Nie ma nikogo takiego jak nasz tato”.

Poczuł, że zapiekły go oczy.

- Dziękuję, że mi to powtórzyłaś. Chciałbym, żeby i reszta spraw potoczyła się tak gładko. - Zaciśnął palce na kierownicy.

- Nie rozumiem... Myślałam, że Paul ci wybaczył. Coś nie tak? Przecież dogadaliście się. Nie?

- Prawda jest taka, że osiągnęliśmy pewne porozumienie, a raczej tyle, że mój syn uznał, iż w ogóle istnieje. Niestety, obawiam się, że będziemy musieli odrzucić założenia doktora Maurisa i obmyślić własną taktykę.

- Dlaczego?

- Ani doktor, ani ja, rozmawiając w szpitalu, nie wiedzieliśmy o pewnej bardzo istotnej sprawie... O tym, że byłaś mężatką.

Od kiedy się poznali, uderzał go zawsze jej zewnętrzny spokój. Dopiero teraz, widząc, jak Hallie zaciska kurczowo dłonie, zrozumiał, że i ona ledwie nad sobą panuje. Wiedział wszystko o takim stanie ducha i z niewiadomych przyczyn ucieszył się, że ją również mogło coś wytrącić z równowagi.

- Paul wie, że jesteś kobietą z krwi i kości. Utwierdza go to w przekonaniu, że nie jest ci pisane życie w klasztorze. Twoje potrzeby duchowe i zainteresowa-



nia uznaje za wyzwanie dla siebie, nie za przeszkodę.  
Dał mi do zrozumienia, że zamierza stać się dla ciebie  
kimś, kto przesłoni ci pamięć o mężu, którego kochałaś.  
Że zrobi wszystko, żeby zająć w twoim sercu jego  
miejsce.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Co za ironia losu, gorzka ironia! Paul miał nadzieję na coś, co nigdy nie miało się stać. Co stać by się nie mogło. Zwłaszcza w sytuacji, gdy co noc w swoich snach Hallie widziała twarz jego ojca. Gdy nasłuchiwała jego głosu na schodach, gdy elektryzował ją byle dotknięciem.

Wysiadła z samochodu i zeszła nad wodę.

Minał rok od śmierci Raula, gdy zaczęła przyłapywać się na tym, że nie potrafi dokładnie przypomnieć sobie jego twarzy. Budziło to w niej tak ogromny smutek, że w końcu zwierzyła się z tego Gaby. Gaby była właściwą osobą do takich wynurzeń, gdyż wiedziała, co znaczy stracić męża. Jej własny zginaj w wypadku na łodzi. Uspokoiała Hallie, że to, co po kolei przeżywała i przeżywa - niemożność pogodzenia się ze śmiercią najbliższego człowieka, gniew, ból, poczucie winy - jest najzupełniej naturalne. Sama przeszła już wszystkie te fazy cierpienia i przetrwała. Zapewniała Hallie, że za pewien czas nastąpi przesilenie i również ona odzyska spokój ducha. I rzeczywiście tak się stało. Hallie znalazła ukojenie. Dzięki posłudze ludziom jej życie znów nabrało sensu. Z trudem odzyskanemu wewnętrznemu ładowi zagroziło dopiero poznanie Vincenta Rollanda.

A teraz wołał ją. Przestraszyła się, że znów będą tylko we dwoje.

- Czy mógłbyś podwieźć mnie do kościoła? - poprosiła. Wyczuła w nim napięcie, ale nie odmówił. Była mu wdzięczna, że w drodze nie usiłował nawiązać rozmowy. W tym stanie ducha nie umiałaby z nim rozmawiać. Zabraniała sobie nawet spojrzeć na niego. Kiedy dojechali na miejsce, czuła się tak zdenerwowana, że nie oglądając się na Vincenta, weszła od razu do kościoła, mijając się w przedsionku ze staruszką w szalu na głowie.

- Przepraszam - zatrzymała ją. - Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie znajdę księdza?

W wyblakłych oczach zamyślanej kobiety pojawiło się zaskoczenie.

- O, tam, po prawej. Powinien być u siebie.

- Dziękuję.

Hallie zapukała do wskazanych drzwi i powiedziano jej, by zaczekała chwilę. Wkrótce z salki wyszła młoda para, a ksiądz poprosił ją. Był mniej więcej w wieku dziadka Maurice'a. Przedstawiła się i wyjaśniła, kim jest. Ojciec Olivier ucieszył się, że ma do czynienia z przyszłą dominikanką, a gdy się dowiedział, iż mieszka u Rollandów, rozpromienił się cały. Odniosła wrażenie, że bardzo cenił tę rodzinę, a z dziadkiem Maurice'em, jak powiedział, przyjaźnił się od lat.

- Chciałabym, ojcze, posługiwać tymczasowo tutaj. W przedsionku zauważyłam wykaz letnich zajęć dla młodzieży. Może jest ktoś, komu przydałaby się pomoc w angielskim?

- Jak najbardziej. W tych okolicach rozwija się turystyka. Nasza młodzież chce się uczyć języków, gdyż z ich znajomością łatwiej o dobrze płatną pracę. Może przyszedłabyś we czwartek o siódmej? Przedstawiłbym cię grupie i od tego byśmy zaczęli. Co ty na to?

- Wspaniale, będę wdzięczna.

- Powiedz Maurice'owi, że wpadnę do niego z wizytą podczas weekendu. Do zobaczenia. - Odprowadził ją do drzwi.

Podniesiona na duchu weszła do kościoła, żeby się pomodlić, a kiedy wstała, zobaczyła Vincenta. Siedział w ostatniej ławie i czekał na nią.

Póki go nie poznała, żyła normalnie. A teraz w dzień i w nocy, na jawie i we śnie, a nawet w czasie modlitwy, czuła jego obecność. Tworzyło to w niej zamęt, budziło lęk.,.

Gdy wsiedli do samochodu, odczuła wewnętrzny przymus dokończenia rozmowy, którą podjęli nad rzeką.

- Do tego, że byłam mężatką, przyznałam się Paulowi dopiero w szpitalu - powiedziała bez wstępów. - Zrobiłam to w nadziei, że przestanie mnie traktować jak świętą. Chciałam się w jego oczach odbrać, gdyż przyszło mi na myśl, że może idealistyczne postrzeganie mojej osoby ma jakiś wpływ na jego stosunek do mnie.

- Teraz wiemy już, że pojął to wbrew twoim intencjom. Widzi w tobie kobietę z krwi i kości. Kobietę do wzięcia.

Odwróciła twarz do okna.

- Wyjechałabym z St. Genes już dziś, gdyby to

wszystko nie było takie zawikłane. Wczoraj dwukrotnie odmówiłam Paulowi swego towarzystwa. Nie spodoba mu się, że dziś z samego rana... - Przerwała w połowie zdania, gdyż oboje w tym samym momencie zauważyli Paula. Jechał z naprzeciwka na swoim dwusiodłkowym skuterze.

- Zajmę się tym - powiedział Vincent i zjechał na pobocze. Wsiadł z samochodu, a Paul objechał ich i stanął z tyłu. Hallie czuła, że nie może siedzieć i nic nie robić. Gdyby chłopiec zaczął podejrzewać, że spiskuje z jego ojcem, a może nawet coś knuje, zrzuciłby winę na Vincenta.

- Dzień dobry - zawołała, wysiadając.

Mina Paula nie wróżyła nic dobrego.

- Myślałem, że jeszcze śpisz.

- Długie spanie to luksus młodości - zażartowała.

- Za parę lat będziesz się budził wcześnie, żeby nie wiem co.

- To prawda - roześmiał się Vincent. - Korzystaj, póki możesz.

- Byłbym wstał...

- Jeśli sobie dobrze przypominam, ani ty, ani Monique nie przepadacie za chodzeniem do kościoła o siódmej rano.

Paul odprężył się.

- A teraz dokąd jedziecie?

- Wracamy do domu - Vincent uprzedził odpowiedź Hallie. - Zauważyłem Hallie na moście i zaproponowałem podwiezienie.

- Ja cię podwiozę - rzucił Paul.

- Zapomniałeś o zasadach, które mnie obowiązują. Nie wolno mi pływać, chodzić na tańce, słuchać nieodpowiedniej muzyki, jeździć konno i motocyklem. Taka jest reguła zakonu.

Chłopiec skrzywił się.

- Nie jesteśmy w Paryżu.

Pokręciła głową.

- Zakazy te obowiązują mnie wszędzie.

Najwyraźniej nie chciał, żeby mu o tym przypomiano, ale były to argumenty nie do zbiccia.

- Wiesz co - wtrącił ojciec. - Załatwiłem już swoje sprawy. Weź samochód i przejedź się z Hallie, a ja wrócę do domu na skuterze. - Podał Paulowi kluczyki.

- Dziękuję - wymruczał chłopiec. Ojciec nie mógł zrobić nic, co sprawiłoby mu większą radość.

- Nie ma za co.

Hallie ze śmiechem oplotła się rękami, patrząc, jak Vincent sadowi się na skuterze.

- Kiedy ostatnio na czymś takim jeździłeś?

- Chyba dwa lata temu. - Spojrzał na syna. - Przy zakupie robiliśmy próbne jazdy.

- Jeździcie bez kasków? Czy tak wolno?

- Oj, Hallie, przecież to tylko skuter. Gderasz jak matka Julesa.

Vincent i Hallie spotkali się rozbawionym spojrzeniem.

- Będę ostrożny, obiecuję - powiedział. Wspiął się lekko na siodełko i odjechał. Hallie odprowadziła go wzrokiem, osłaniając ręką oczy przed słońcem, i szybko wsiadła do samochodu. Miała nadzieję, że Paul nie domyśli się nigdy jej zauroczenia ojcem.

- Co robimy? - spytał.

Przeczesała palcami włosy, by ukryć drżenie ręki.

- Czy moglibyśmy pojechać do St. Emilion zobaczyć katedrę i katakumby? Monique opowiadała mi o pewnym mnichu z ósmego wieku, który mieszkał podobno w jaskini. Myślę, że to na tym miejscu stoi teraz kaplica wykuta w skale.

Paul przyjął tę propozycję bez entuzjazmu.

- Byłaś już dziś w kościele.

- Nigdy mi tego za dużo.

- Ale jesteś teraz w krainie wina. Zabrałbym cię chętnie do jaskiń, gdzie można skosztować najlepszych trunków.

- Wiem, że byś tego chciał, ale ja nie piję alkoholu.

- To też zakonna reguła?

- Nie. Osobisty wybór. W szkole pojechaliśmy kiedyś na wycieczkę do Meksyku i tak się pochorowałam po winie, że nie mogłam jeść przez kilka dni. Od tej pory nie tykam alkoholu.

- Przedtem nigdy nie próbowałaś?

- Nie. Inaczej niż to było u was, mój ojciec nie dolewał mi od dziecka wina do wody. Gdy w końcu miałam okazję zaszać, nie wiedziałam, kiedy skończyć pić.

- Nie wyobrażam sobie ciebie pijanej.

- A jednak... Brr, wolę sobie tego nie przypominać. Paskudne uczucie. Wina nie znoszę, ale winnice są przepiękne. Fantastyczny widok. Wyobrażam też sobie, że praca w biurze winnicy twego taty wiele mnie nauczy. A propos... chyba byłoby dobrze, gdybyśmy się wybra-

li do kierownika tego biura. Matka przełożona czeka na faks od pana Brouarda, potwierdzający moje zatrudnienie. Inaczej nie może ubiegać się o przedłużenie mi wizy.

Paul westchnął sfrustrowany.

- W takim razie jedźmy zobaczyć się z Yvesem już teraz i miejmy to z głowy. Pokażę ci też twój domek. A potem wybierzemy się do St. Emilion, na jak długo nam się będzie podobało. Jest tam pewna restauracyjka, zjemy obiad i...

- Ojej, Paul... zapomniałam o czymś. Chyba musimy przełożyć tę wycieczkę na kiedy indziej.

- Bo?

- Obiecałam dziadkowi, że dokończymy partyjkę szachów. Miał sprawdzić, czego mnie wczoraj nauczył. Nastawił się na to, nie chciałabym go zawieść. A co z twoją pracą tutaj? Kiedy zaczniesz?

- Jeszcze nie wiem. - Zaczerwienił się. - Przecież dopiero wróciłem do domu. Nie poganiaj mnie. - Delikatnie uderzył pięścią w kierownicę. - Przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny.

- To ja cię przepraszam, jeśli poczułeś się odepchnięty. - Spodziewała się zapewnienia, że nie, ależ skąd. Nie odezwał się jednak i w tym momencie zaczęła wierzyć, że pomysł doktora Maurisa już przynosi efekty.

Po raz pierwszy w życiu Paul był na nią wściekły. Nigdy by się do tego nie przyznał, lecz zaczynała go irytować. Czuła to wyraźnie. Gdyby udało się jej poprzez zajmowanie się wyłącznie własnymi sprawami rozczarować go jeszcze głębiej, w końcu przestałby się



o nią starać, bo ile można. I przestałby za to winić swego ojca, to najważniejsze.

Biuro winnicy mieściło się w jednym z domków o rustykalnym wyglądzie, ale jego wyposażenie okazało się na wskroś nowoczesne. W tym samym budyneczku, z boku, znajdowało się prywatne mieszkanie kierownika.

Yves Brouard był zażywnym Francuzem około czterdziestki, ojcem dwojga dzieci. Uściskał Paula na przywitanie, lecz przeprosił go na czas wywiadu z Hallie. Chłopiec poczuł się tym urażony. Z zaciętą miną pożegnał się, mówiąc, że przyjedzie po nią za godzinę.

Brouard popatrzył na Hallie z uśmiechem. Podobała mu się jako kobieta, to było jasne.

- Paul - zaczął - mówi, że potrzebuje pani pracy, by pozostać we Francji.

- Czy wyjaśnił, dlaczego?

- Nie, ale nietrudno mi zrozumieć, dlaczego tak mu zależy na zatrzymaniu pani tutaj.

Postanowiła nie bawić się w niedopowiedzenia. Powiedziała od razu, że jest w zakonie i sprawując posługę dominikańską w Paryżu, utrzymywała się z pracy ekspedientki w supermarkecie. Po usłyszeniu tej wiadomości Yves wyraźnie zmienił swój stosunek do niej.

- Proszę wybaczyć - wymruczał. - Pozwoliłem sobie na niestosowne przypuszczenia.

- Nie gniewam się, naprawdę. Skąd miał pan wiedzieć, jeśli Paul nie uznał za stosowne o tym wspomnieć. Zaprzyjaźniliśmy się w Paryżu. Paul jest synem Vincenta Rollanda, a to stawia pana w trudnej sytuacji.

Proszę więc o szczerotę. Jeśli nie może pan zatrudnić mnie tymczasowo, poszukam pracy gdzie indziej.

Brouard sięgnął do kieszonki koszuli po paczkę papierosów.

- Mogę zapalić?
- Ależ oczywiście.

Zastanowił się i odłożył papierosy.

- Wiem już, że pracowała pani jako ekspedientka. Czy ma pani również inne kwalifikacje?

- Zrobiłam dyplom UCLA uprawniający do nauczania języka hiszpańskiego w szkołach wyższych.

- Hiszpańskiego, powiada pani...

- Pracowałam też jako stewardesa w chilijskich liniach lotniczych, aż do tragicznej katastrofy, w której zginął mój mąż

- Serdecznie współczuję.

- No cóż, stało się. Musiałam przewartościować w życiu wiele spraw. Związałam się z dominikankami w San Diego i żeby zarobić na utrzymanie, zatrudniłam się jako kelnerka w hiszpańskiej restauracji. A potem zgromadzenie przeniosło mnie do Francji.

- Musi pani znać hiszpański doskonale.

- Tak. Mąż był Chilijczykiem. To mi pomogło.

- Czy potrafi pani pracować na komputerze?

Wyczuła, że czymś go wyraźnie zainteresowała.

- Posługuję się nim od czasów szkolnych.

- A jak długo zamierza pani tu pozostać?

- Tego jeszcze nie wiemy - zabrzmiała odpowiedź od wejścia. Hallie i Brouard spojrzeli w kierunku drzwi. Stał w nich Vincent. Hallie nie miała pojęcia, że

był na terenie biura... Od kiedy przysłuchiwał się rozmowie? Z przejęcia załomotało jej w skroniach.

Yves podniósł się.

- Myślę, że znaleźliśmy właściwą osobę do pomocy Michelowi w pertraktacjach z kupcami z Ameryki Południowej. Jest sporo nowych kontrahentów. Michel tyra za dwóch. Panna Linn zna świetnie język hiszpański, mogłaby więc przejąć obsługę tych kontaktów.

Vincent kiwnął głową.

- Czy Michel jest tutaj?

- Ma dziś wolny dzień. Z przyjemnością sam zajmę się panią.

- Doceniam twoje dobre chęci, ale wiem, że masz dziś jeszcze pozatwierać sprawy związane z naszymi kontraktami z Anglią. Póki co wyślij faks do przełożonej dominikanek w Paryżu z wiadomością, że panna Linn otrzymała u nas angaż, a ja zabiorę ją do swego biura i pokażę, o co chodzi. Gdyby - zwrócił się do niej - zajęcie to nie bardzo ci odpowiadało, wymyślimy coś innego.

Co mogła powiedzieć, stojąc przed swym pracodawcą?

- Z wdzięcznością przyjmę każdą pracę.

Otworzyła torebkę i rozedrgana przepisała z notesu numer faksu do przełożonej zgromadzenia i dziękując Yvesowi za poświęcony jej czas, wyszła za Vincentem. Jego biuro mieściło się na parterze domu, dokładnie naprzeciwko wejścia do biura winnicy. Było to rozwiązanie znakomicie dostosowane do prowadzenia interesów. Dobrany personel oprowadzał potencjalnych

klientów i turystów po piwnicach z winem i plantacji, a sprawy formalne załatwiali od ręki pracownicy Brouarda. Vincent zarządzał dochodowym przedsiębiorstwem, rozwijanym od blisko czterech wieków. Było oczywiste, że miał nadzwyczajną smykałkę do interesów, lecz w głębi duszy Hallie podziwiała go najbardziej za wychowanie dzieci.

- Wejź, proszę. - Przepuścił ją przodem.

Wnętrze biura nosiło znamiona siedemnastowiecznego salonu, wyposażonego w nowoczesne sprzęty niezbędne dziś do pracy. Jedną ze ścian zajmowała olbrzymia panorama majątku, na przeciwległej zaś wisiała wielka mapa z napisem: „Dzieje winnicy Rollandów”. Poszczególne plantacje były oznaczone tabliczkami z wyszczególnieniem powierzchni gruntów, gatunku winogron, porą ich dojrzewania i nagród za najlepsze zbiory w takim to a takim roku.

Było to prywatne sanktuarium Vincenta. Hallie poczuła nagle, że chciałaby spędzić tu z nim jak najwięcej czasu. Nie potrafiła dłużej się oszukiwać. Nie było na świecie nikogo, czyja obecność sprawiałaby jej większą radość. Co robić? Co robić? Vincent stał tuż za nią, czuła jego ciepło i zapach. Nie śmiała odwrócić głowy.

- Wiem, na początku może cię to przytłaczać...

Przytłaczało, owszem, ale jak cudownie! Jej uczucia graniczyły z histerią. Vincent nie dotykał jej, a mimo to znalazła się we władzy pragnień, rozniecających w niej istny ogień.

- Tato... - Hallie drgnęła, porażona uczuciem winy.

— Miałam nadzieję, że znajdę cię w... O, Hallie, jesteście i ty. Myślałam, że pojechałaś z Pauliem.

Hallie powoli odwróciła się do Monique, udając spokój. Spokój! Dobrze sobie!

- Uznałam, że powinnam najpierw omówić sprawę mojej pracy tutaj.

- No to Paul ma radochę - wycedziła Monique z sarkazmem i uśmiechnęła się do ojca. - Dałeś już Hallie jakieś zajęcie? Bo wiesz, ona potrafi wszystko.

- Właśnie się zastanawiamy. - Głos Vincenta brzmiał jakoś dziwnie. Chrapliwie. - Jeśli przyszedłaś dać mi całusa, to czekam.

- Wierzę, że za mną tęskniłeś - Monique rzuciła się ojcu na szyję, a Hallie pozazdrościła jej tego przywileju. - Ale ja tęskniłam się za tobą jeszcze bardziej. Tak się cieszę, że jestem w domu!

- I niech tak będzie jak najdłużej, moja maleńka.

Monique odrzuciła do tyłu głowę.

- Czy zgadzasz się, żebym pomówiła z Vivienne o praktyce u niej? Mówiłeś, że kiedy wrócę z Paryża, porozmawiamy o tym. Suzette błaga mnie, żebyśmy razem znalazły sobie jakieś zajęcie na lato w St. Genes, ale wołałabym pracować u nas, na miejscu.

- Co o tym sądzisz? - Vincent zerknął na Hallie.

Wołałaby, żeby jej nie pytał. Wciągał ją coraz bardziej w sprawy rodziny. Sama już nie wiedziała, kim jest i gdzie jej miejsce.

- W wypadku Monique poddaję się. Wspaniała dziewczyna! Nic dziwnego, że ukończyła szkołę jako prymuska.

Vincent popatrzył na córkę z taką miłością, że Hallie poczuła ściskanie w gardle.

- Jestem z ciebie bardzo dumny.

- To wielkie szczęście mieć córkę, która kocha pracę - powiedziała Hallie. - Posługując w zakonie, poznałam masę młodzieży uzależnionej od narkotyków, niezdolnej do podjęcia żadnego odpowiedzialnego zadania. Tylu młodym ludziom potrzeba wsparcia, rehabilitacji...

Vincent przytrzymał na moment jej spojrzenie, pocałował córkę w czoło i puścił ją.

- A zatem chcesz zajmować się turystami?

- Tak!

- W porządku. Biegnij do Vivienne i powiedz jej, że masz moje pozwolenie. Niech cię podszkoli.

- Dziękuję, tato. Tobie Hallie też dziękuję. Och, byłabym zapomniała. Dziś są urodziny Etvige. Planuję maleńką uroczystość. Udamy, że nic się nie dzieje. Dopiero kiedy po kolacji pójdzie do kuchni po deser, zgasimy światło i poczekamy na nią z tortem. Pojechałabym do miasta do cukierni. Mogę wziąć twój samochód?

- Naturalnie. Porozum się z Paulem. Ma kluczyki od wozu.

- Znajdę go. Zawiadomiłam już Gastona i innych. Przyjdą z prezentami. Ja zamierzam podarować Etvige tę sukienkę, którą przywiozłam z Paryża.

Pamiętna czerwona sukienka.

Hallie pomyślała, że Vincent długo nie będzie w stanie wymazać z pamięci tamtego traumatycznego wie-

czoru. Kiedy jednak zerknęła na niego, uśmiechał się, burząc córce włosy.

- Na pewno bardzo się jej spodoba. Z okazji urodzin miałem zamiar dołożyć jej pewną sumę do pensji, ale zrobię inaczej. Dam jej ten prezent dzisiaj i napiszę kartkę z życzeniami. Kupisz mi jakąś ładną?

- Jasne. Zobaczymy się później. No to lecę.

- Zamknij drzwi! - zawołał za nią.

Gdy znów zostali sami, odwrócił się od Hallie. Myślała, że zacznie opowiadać, na czym będzie polegała jej praca. Tymczasem odczuła, że coś się w nim zmieniło.

- Jak długo trwało twoje małżeństwo z tym Chilijczykiem? - zapytał.

Zaskoczyła ją, że chciał rozmawiać o Raulu.

- Ja... - wybąkała. - Jeśli uważasz, że moja znajomość hiszpańskiego może się okazać niewystarczająca, to w porządku. Znajdę inne zajęcie.

- Pytam nie dlatego, żebym wątpił.

- Nie rozumiem. - Spojrzała mu w oczy.

- Paul nie ma pojęcia o takim cierpieniu.

Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że Vincent uważa, że jest wciąż pogrążona w żałobie.

- Wołałabym nie rozmawiać o swoim życiu osobistym. Tak będzie lepiej.

- Nie wskrzeszałbym przeszłości, gdybym się nie martwił, że przyjeżdżając tutaj, żeby pomóc Paulowi, wzięłaś na swoje braki dodatkowy ciężar.

- To nie tak - wyszeptwała. - Raul jest już tam, w lepszym świecie. Możemy tylko dziękować Bogu, że twój

syn żyje. Jestem gotowa zrobić wszystko, żeby wyleczył się z depresji i mógł być szczęśliwy. Myślę, że ty i twoje dzieci jesteście wybrańcami losu. Kochacie się, macie siebie nawzajem.

Stał zbyt blisko. Prawie jej dotykał.

- A co z twoją rodziną? Hallie... Nigdy o niej nie mówisz...

Zacisnęła powieki za późno, by udało się ukryć łzy.

- Wszyscy odeszli.

W pokoju zapanowała cisza.

- Jak to: odeszli? Jak mam to rozumieć?

Odwróciła głowę, walcząc o spokój.

- Powiedz mi. - Poczowała na ramionach jego ręce, ciepłe, kojące jak balsam. Potrząsnął nią leciutko. - Chcę wiedzieć.

Gdyby się nie zbliżył, wzięłaby się w garść. Tymczasem ten dotyk wyzwolił w niej jakiś ukryty strumień. Strumień długo tłumionych uczuć. Zaszlochała.

- Hallie... No, proszę... Wyrzuć to z siebie.

- Wszyscy zginęli w katastrofie - powiedziała bezradnie.

- Wszyscy, to znaczy kto?

- Dziadkowie, moi rodzice, rodzice mego męża, jego brat i żona, mój brat i bratowa z maleńkim dzieckiem i Raul.

- Matko święta!

Objął ją i przytulił do piersi. Od tak dawna niosła w milczeniu swoją niewypowiedzianą rozpacz, że chwila, w której mogła podzielić się nią z kimś żywym, wydała się jej rajem.



- Samolot rozbił się w Andach. Pobraliśmy się z Raulem dzień wcześniej. Moi rodzice wyprawili nam wielkie przyjęcie w naszym domu w Bel Air. Lecieliśmy do Santiago na drugie przyjęcie... Na pokładzie samolotu znajdowało się dwieście pięćdziesiąt osób. Przeżyło tylko sześć. Teren w górach, tam, gdzie spadliśmy, był trudno dostępny, więc znaleziono nas dopiero po tygodniu. Byłam pewna, że nie żyję. Nic nie widziałam. Słyszałam tylko głos jakiejś kobiety. Trzymała mnie za rękę, powtarzała, żebym się nie poddawała. Przewiązała mi oczy opaską. Mówiła, że zaraz nadejdzie pomoc. Czasem coś mi śpiewała, czasem modliła się głośno i namawiała mnie do modlitwy. Wlewała we mnie nadzieję, gdy nie było nadziei. Któregoś dnia usłyszałam, że coś się dzieje. Wszyscy mówili o katastrofie lotniczej. Powiedziano mi, że zostałam uratowana. Później straciłam przytomność i ocknęłam się w szpitalu. Miałam zabandażowane oczy i nie mogłam poruszać nogami. Lekarz powiedział, że straciłam wzrok od blasku śniegu i złamałam nogę, ale wyzdrowieję. Pamiętam, że myślałam, że to nie ma znaczenia. Pytałam o kobietę, która czuwała nade mną i uchroniła mnie od śmierci. Kto pomagał jej? Jedna z osób, które przeżyły, wymagała zaledwie kilku dni hospitalizacji i zwolniono ją do domu. Dowiedziała się wszystkiego. Następnego dnia rano poczułam znajomy dotyk ręki. Osoba, która przy mnie usiadła, miała głos tamtej kobiety. Okazało się, że to naprawdę ona. Była zakonnica.

Hallie mówiła i mówiła i w pewnym momencie poczuła, że Vincent całuje ją we włosy. Być może sądził,

że w ten sposób ukoi jej żal, ale zrozumiała, że budzi się w nim również pożądanie. Przestraszona, wysunęła się z jego objęć i usiadła na najbliższym krześle.

- Przepraszam, że aż tak się rozkleiłam - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Mój Boże, Hallie - wychrypiał nieswoim głosem.

- To cud, że w ogóle żyjesz.

- We wszystkim jest jakiś cel. Wierzę w to, pogodziłam się z tą myślą. - Zwilżyła wyschnięte usta. - Brouard wspominał o kontaktach handlowych z Ameryką Południową. Handlujecie w jednym kraju czy w kilku?

Nim Vincent zdążył odpowiedzieć, do domu weszli młodzi Rollandowie. Hallie zadygotała. Gdyby pojawili się wcześniej... Nie witając się z ojcem, Paul wypalił ostro:

- O co ci chodzi, tato? Monique twierdzi, że pozwoliłaś jej wziąć samochód, ale przecież miałem jechać z Hallie do St. Emilion,..

Obsesowym zachowaniem Paul przypominał Hallie jego zbuntowanych rówieśników, z którymi pracowała w Kalifornii i w Paryżu. Vincent tymczasem zdążył usadowić się za biurkiem.

- A nie moglibyście pojechać we troje? Monique planuje urodzinową fetę dla Etvige. Mogłaby skorzystać z waszej pomocy. Kiedy będziecie w mieście, zjedzcie lunch w „Trois Maroons”. Kto jak kto, ale Hallie na pewno powinna spróbować ciasta pieczonego od trzech wieków według receptury sióstr urszulanek. A to na wydatki - wyjął pieniądze z portfela.

- Dziękuję, tatku - Monique ucałowała ojca.

Hallie wyszła na dwór jako pierwsza. Czuła, że jeśli nic się nie zmieni, i to prędko, to być może psychiatra okaże się bardziej potrzebny jej niż Paulowi. Coraz bardziej gubiła się w swych uczuciach, coraz bardziej pogrążała w chaosie.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po wzruszającym przyjęciu dla Etvige dziadek rozłożył szachownicę, a Monique i Hallie sprzątały. Paul siedział i bębnił palcami o krawędź stołu. Marzył o wyjściu z Hallie, a tymczasem miał do wyboru kibicowanie jej szachowej rozgrywce z dziadkiem albo wyniesienie się na wieczór nie wiadomo dokąd. Vincent obserwował syna. Było mu go żal i postanowił działać.

- Paul... Co z domkiem Hallie? - zapytał.

Chłopiec przestał stukać w blat.

- Bernard wszystko już naprawił. Musiał wymienić zamek. Jutro ma posprzątać i będzie można wstawić meble.

- Chcesz czekać do jutra?

- Bo co? - Paul żywo spojrzał na ojca.

- Gdybyśmy się postarali, we dwóch zrobilibyśmy wszystko dużo lepiej. Weźmy się do roboty. Co ty na to? Monique mogłaby nam pomóc. Hallie pograłaby z dziadkiem w te ich szachy, a przed nocą przeniosłaby się już do siebie.

Paul poderwał się z krzesła.

- Przebiorę się tylko i za pięć minut będę w komórce ze sprzętem.

- Ja też zmienię ubranie.

Razem wyszli z pokoju. Vincent zdążył jeszcze wymienić z dziadkiem spojrzenie. Maurice kiwnął leciutko głową. Aprobował niespodziewany sojusz, nawet jeśli miał trwać bardzo krótko. Gdyby miał choćby najłżejsze podejrzenia, że jego ukochanemu wnukowi zależy nie tylko na szczęściu syna, chyba by tego nie przeżył. A Vincent... Vincent czuł się tak, jakby postradał zmysły.

- Voila! Twoja chałupka jest już wyszykowana.

Gdy dziadek zakończył kolejną partyjkę szachów, Monique czym prędzej wyciągnęła Hallie z domu tylnym wyjściem i zaprowadziła ją do jej nowego lokum.

Słowo „chałupka” nie było właściwym określeniem. Prześliczne mieszkanie miało na ścianach drobniutki siedemnastowieczny wzór w barwach burgunda i złota. Składało się z saloniku, malej jadalni, kuchni, łazienki i sypialni z dwoma identycznymi łózkami i bajeczną toaletką. Był nawet telefon. Rozmieszczenie mniejszych sprzętów, ozdób i obrazów wskazywało na udział Monique, bo chyba tylko ona mogła urządzić to z takim wręcz artystycznym smakiem.

- Podoba ci się?

- Sama o tym wiesz. - Hallie uściśnęła ją serdecznie. - Czuję się jak księżniczka z bajki. A Paul i twój tato? Gdzie się podziali? Im też chciałabym podziękować. Bardzo się napracowali.

- Później. Na razie przenieśmy rzeczy. Prześpię się dziś u ciebie, dobrze? Poza domem pierwszej nocy możesz się czuć nieswojo. Chcesz?

Hallie uwielbiała tę dziewczynę, lecz dziś wolałaby być sama i wreszcie porozmawiać przez telefon z Gaby. Gaby to był głos rozsądku. W razie potrzeby potrafiła być brutalnie szczera. Jak jednak można było odmówić tej ofiarnej nastolatce, która teraz, po szaleństwach jej brata, potrzebowała psychicznego wsparcia?

- Bardzo chcę - odpowiedziała z uśmiechem. - Chodźmy po nasze rzeczy.

Wybiegając z domku, zderzyły się z oboma panami, którzy rozmawiali z Bernardem. Gospodarz wręczył jej klucze.

- Zapasowy jest u mnie, na wypadek gdyby pani te zgubiła.

Hallie podziękowała i razem z Monique pospieszyły do domu. Bagaż zakonnicy mieścił się w jednej walizce. Spakowanie się trwało niedługo. Hallie wzięła jeszcze pod pachę powieść z biblioteczki Monique, dziewczyna zabrała tylko rzeczy do spania i wkrótce razem wróciły prosto do domku.

- Ty tutaj? - zdziwił się Paul, widząc swoją siostrę z torbą.

Razem z ojcem czekał w saloniku. Hallie usiłowała nie patrzeć na Vincenta jak w obraz. Napatrzyła się już na niego przy kolacji. W spłowiałych džinsach i czarnym podkoszulku był jednak tak niewiarygodnie męski, że... Usiłowała poskromić myśli, które naprawdę nie przystawały zakonnicy. Tylko jak miała je ugasić?

- Poprosiłam Monique, żeby została u mnie na noc. A póki jesteśmy tu razem, pozwólcie, że podziękuję wam wszystkim. I wiecie co? Przyszło mi do głowy, że

moglibyśmy ochrzcić ten mój nowy dom z dala od domu, czytając po kolei fragmenty z „Siedmiu dialogów zwierząt” Colette.

- Chciałabyś? Naprawdę? - zawołała Monique.

- Może się mylę - Hallie zwróciła się do niej z uśmiechem - ale czy nie mówiłaś mi kiedyś, że powinnam to przeczytać?

- I słusznie - wtrącił Vincent. - Jest to prześmieszna historia opowiedziana z punktu widzenia kota i psa.

- Paul - Hallie ujęła go pod ramię, nie chcąc, by poczuł się niepotrzebny. - Poczytasz z nami? Przydałaby mi się pomoc we francuskim. Tak jak tobie je-sienią w angielskim - dodała, widząc, że ma ochotę odmówić.

- No dobra - skrzywił się. - Ostatecznie mogę trochę poczytać.

- Ja też - przymówił się Vincent. - Czuję, że będzie wesoło.

Następna godzina okazała się dla Hallie jednym z jej najcudowniejszych przeżyć. Podzieliła się rolami. Kiedy przyszła kolej na nią, dała z siebie wszystko, by jej francuski wypadł jak najlepiej. Na początku Rollandowie starali się ukryć rozbawienie. Kiedy jednak spróbo-wała udawać szczekanie psa, hiszpański akcent był tak silny, że nie wytrzymali i gruchnęli śmiechem. Vincent śmiał się do łez i kiedy zobaczyła, jak ociera oczy, zrozumiała jedno: po raz drugi w życiu była zakochana. Zaczerwieniła się i zaniknęła książkę.

- Wystarczy. Koniec śmichów-chichów. Bardzo wam za wszystko dziękuję.

Vincent podniósł się.

- Wszystko co dobre szybko się kończy - powiedział wesoło. - Chciałbym jeszcze tylko coś zaproponować, bo gdy słucham waszych planów, widzę, że nie poradzimy sobie w te wakacje z jednym samochodem. Paul, Monique... pojedźmy jutro do St. Genes. Wybierzcie sobie jakieś autka. Na ferrari Uczyć nie możecie, ale myślę, że i krajowy samochód bardzo się każdemu z was przyda... Dobranoc, Hallie. Do zobaczenia w moim biurze.

Niedługo potem obie leżały już w łóżkach. Zgasiły światło, lecz miały kłopot z zaśnięciem.

- Mówiłaś coś? - Hallie uniosła głowę znad poduszki, gdyż wydało jej się, że dziewczyna wypowiedziała jej imię.

- Jeśli zdecydujesz się złożyć śluby wieczyste, to czy nie mogłabyś zostać we Francji? Niedaleko Pomerol, gdzie tato ma plantację, jest klasztor dominikanek.

Och, dziecko, dziecko. Hallie podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Mogłabym, ale chcę uczyć młodzież w Ameryce Południowej, w dzielnicach nędzy, gdzie nie ma szkół państwowych, bo miejscowe władze oszczędzają na edukacji.

Nadszedł czas, by powiedzieć Monique o sprawach, z których zwierzyła się Vincentowi. Tym razem nie czuła lęku.

- Widzisz, Monique... Gdyby mój mąż nie zginął w katastrofie lotniczej, mieszkalibyśmy w Chile, jego



ojczyźnie... Chodziliśmy ze sobą rok, pokochaliśmy się i pobraliśmy...

Opowiedziała wszystko.

- Zginęły obie wasze rodziny? - wyszeptała przerażona Monique. - Wszyscy?

- Tak. Ale siostra Carlotta, ta, która była przy mnie w Andach, zaopiekowała się mną po wyjściu ze szpitala. Zakonnice z San Diego przyjęły mnie pod swój dach. Po pewnym czasie powiedziałam siostrze Carlocie, że chciałabym wstąpić do ich zgromadzenia. Uznała jednak, że powinnam dobrze się nad tym zastanowić i najpierw wrócić do swoich korzeni, do Kalifornii. Poleciałam więc do Los Angeles, ale nie potrafiłam poradzić sobie ze wspomnieniami. Sprzedałam dom rodziców, pieniądze wysłałam dominikankom jako darowiznę i pojechałam prosto do klasztoru w San Diego. Marzyłam o wyjeździe do Ameryki Południowej już jako zakonnica. Matka przełożona powiedziała mi jednak, że potrzebuję czasu na przemyślenie swojej decyzji, gdyż życie zakonne nie jest łatwe. Żeby znaleźć w nim radość i spełnienie, trzeba mieć autentyczne powołanie. Zaproponowała mi posługę dominikańską wśród ludzi. Dalej już wiesz.

- Tak się cieszę - powiedziała Monique - że przyszliśmy wtedy z Paulem do Tatiego i mogliśmy się poznać!

- Ja też - przyznała Hallie ze łzami w oczach.

- Chciałabym, żebyś została z nami na zawsze, ale wiem, że nie kochasz mojego brata. Tato powiedział mi, że jesteś tutaj tylko po to, żeby Paul spokojnie się z tą

myśla oswoił. Ale... Hallie... Co by się stało, gdybyś poznała mężczyznę i zakochała się jeszcze raz?

- Dobrze pytanie, Monique. - Przed oczyma Hallie zatańczył obraz Vincenta. - Nie umiem ci odpowiedzieć. Prywatnie na pewno cieszyłabym się, ale, widzisz, jako zakonnica mogłabym zrobić coś dobrego dla wielu ludzi.

- Dziadek Maurice twierdzi, że jeśli kobieta i mężczyzna stworzą dobrą rodzinę, to również wypełniają dzieło boże.

- Ma absolutną rację. Ale obecnie zależy mi wyłącznie na dobru Paula, na jego zdrowiu psychicznym.

- Wiem. Chciałabym, żeby zainteresował się Suzette. Zawsze miała na niego chętkę.

- Możliwe, ale wiesz, jak to jest. Z tym najgorszy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz.

- Myślisz o sobie i o Paulu, tak?

- I o Lucu. No, przyznaj się, czujesz, że mu się podobasz.

- Jest fajny, ale...

- Ale nic do niego nie czujesz, prawda? Nie przejmuj się. Pewnego dnia pojawi się ktoś, kto sprawi, że spadną ci skarpetki.

- Mówiłaś, zdaje się, że to przestarzałe określenie.

- Owszem - Hallie uśmiechnęła się szeroko. - Ale je lubię.

- Wydaje mi się, że tato spotykał się z kimś, kiedy nas tu nie było.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Hallie mocno zabiło serce.

— Zachowuje się inaczej. Nie chodzi mi o sprawę Paula. No, nie wiem, jest jakiś wiecznie podekscytowany. Przecież to dziwne, że nie ożenił się powtórnie, więc może teraz, gdy ja i Paul dorośliśmy, coś planuje,

- Nie możesz zapytać go wprost?

- Boję się.

- Oj, Monique. Jeżeli ma kogoś na oku, to jest to na pewno wspaniała osoba.

- Ale czy potrafi dać mu szczęście?

- Jest sam od tak dawna, że nie wybrałby na towarzyszkę życia kobiety, której wy oboje nie byłibyście w stanie zaakceptować. Zaufaj mi. Jesteście dla swego ojca całym światem. Widziałaś, jaki dziś wieczorem był radosny? Jaki hojny?

- Chciałabym, żeby to trwało wiecznie.

Ja też, pomyślała Hallie, i powiedziały sobie dobranoc. Zasłużyły na odpoczynek.

W południe Vincent pojawił się niespodziewanie, gdy pracowała z Michelem, i mówiąc, że pora na lunch, wsadził ją do samochodu.

- Pomyślałem, że powinnaś się zaopatrzyć w jakieś jedzenie - wyjaśnił. - Lunch lunchem, zawsze czeka na ciebie w domu, ale dobrze jest mieć coś we własnej lodówce. Poza tym pięć kilometrów stąd, w Pully, jest pewien sklepik, w którym o tej porze można zawsze dostać przepyszne croissanty z serem i szynką. Paul i Monique pojechali chyba na przejażdżkę z przyjaciółmi.... Nie codziennie mam do dyspozycji samochód.

W miasteczku chodzili po sklepikach, podjadając ro-

galiki i świeże, soczyste śliwki. Hallie czuła się tak, jakby byli bosko szczęśliwą parą małżonków, którzy wybrali się na zakupy. Były to chwile, które chciałyby zachować w pamięci na zawsze. Do majątku wrócili po trzech godzinach. Vincent wniósł zakupy do domku i zaczął je układać w szafkach.

- Dlaczego chcesz wracać do Ameryki Południowej? - zapytał niespodziewanie. A zatem Monique nie traciła czasu. Zrelacjonowała ojcu nocną rozmowę. Była autentycznie przerażona tym, że w ich życiu mogą nastąpić zmiany. - Czy masz pewność, że powoduje tobą powołanie, czy też to, co czujesz, jest przede wszystkim potrzebą odwdzięczenia się siostrom?

Hallie sama bez przerwy zadawała sobie to pytanie.

- Nie wiem - wyszeptała. - Nie wiem!

- Monique jest przerażona. Uważa, że kiedy Paul otrząśnie się z marzeń, pozwoli ci odejść, a wtedy wyjedziesz na zawsze.

- Jestem tego świadoma. - Spuściła wzrok.

- Mogłabyś posługiwać tutaj. Czy w gruncie rzeczy to nie to samo?

- To nie jest takie proste. Vincent, ja... - Zadrżał jej głos.

- Tak? - Oddychał płytko i szybko. - Jesteś potrzebna mojej córce może nawet bardziej niż Paulowi. Monique wymaga wsparcia. Zrobiła się nieufna, zamysłona, dziwna...

- Nie rozumiesz, że niepokoi się o ciebie?

Uniósł brwi.

- O mnie? Mówisz jakieś bajki.

- Nie. - Być może tak to brzmiało, ale Vincent powinien wiedzieć o swoich dzieciach wszystko, jeśli miał im naprawdę pomóc. - Monique twierdzi, że od powrotu do domu czuje w tobie coś, czego nie rozumie. Sądzi, że się zakochałeś i chcesz się żenić.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Zapragnął nagle chwycić Hallie w ramiona, ale czuł, że byłoby to niemoralne. Nie nosiła habitu, ale mimo to służyła Bogu.

- Czy to prawda? - zapytała, podnosząc ku niemu piękne, czyste oczy.

- Tak - przyznał. - Zakochałem się, ale nie poprosiłem jeszcze o rękę tej kobiety.

Nawet mrugnięciem oka nie zdradziła się ze swymi myślami.

- Zanim zrobię coś, co odmieni nasze życie, muszę mieć pewność, że Paul znowu się nie załamie.

- Wiem.

- Hallie, tato! Jesteście tam? - Do drzwi pukał Paul.

- Biorę to na siebie. - Vincent ścisnął ją za rękę i poszedł otworzyć.

Wstawiła do kredensu opakowanie płatków i odwróciła się do pozdrawiającego ją chłopca.

- Oczy ci się śmieją. Jak się sprawuje twój nowy samochód?

- Jest świetny. Ma nawet podnoszony dach.

- Prawdziwy szczęściarz z ciebie. Pokazałeś się już w St. Genes?

- Nie, ale zaraz to zrobię. Chcesz się przejechać?

- Jasne. — Zerknęła na zegarek. - Mogę być gotowa o szóstej, ale na siódmą jestem umówiona z ojcem Olivierem.

Radość Paula zgasła. Hallie znów odsuwała go od siebie. Wiedziała, że go rozczarowuje, ale tylko tak mogła z nim postępować. Podeszła do szuflady i wyjęła marcepanowy batonik.

- Proszę. — Włożyła go chłopcu do ręki. - To na szczęście. Niech czeka w schowku twego samochodu.

- Na co? Nie rozumiem.

- Nie pamiętasz? - Odgarnęła włosy z czoła. - Deszczowy dzień to taki, w którym nie wszystko się nam układa tak, jak byśmy chcieli.

Paul zastanowił się, rozerwał opakowanie i odgryzł duży kęs.

- Paul... nie zrozumiałeś.

- Zrozumiałem. - Zjadł cały baton i wrzucił papier do kosza.

- Chyba nie jadłeś lunchu.

- Owszem, jedliśmy z Lukiem, i to spory.

- To co ci jest? - Zmarszczyła brwi.

- Wszystko układało mi się wspaniale, póki nie przyjechałem po ciebie. Zawsze masz coś do roboty. Albo właśnie skądś wróciłaś, albo się dokądś wybierasz. W Paryżu było inaczej.

A zatem zaczynał mieć tego dość.

- Zgadza się. W Paryżu widywaliśmy się tylko w pewne dni o umówionej godzinie. Gdybyś był przy mnie przez cały czas, tak jak dziadek i wasz pies, wiedziałbyś, jak naprawdę wygląda moje życie.

Spojrzał na nią twardo.

- I tak będzie zawsze.

- Niestety, taka już jestem.

Paul zabębnił palcami o kuchenny blat.

- Dobra, będę u ciebie o szóstej.

- Dziękuję. - Odprowadziła go do wyjścia. - Do zobaczenia.

Zamknęła drzwi na zasuwę i pobiegła do telefonu. W San Diego była teraz ósma rano. Jeśli małżeństwo Gaby jeszcze spało, nie chciałyby go obudzić, ale sprawa nie cierpiała zwłoki.

Bądź w domu, Gaby! Proszę cię, bądź i odbierz. Odezwała się poczta głosowa i Hallie miała już się rozłączyć, gdy ktoś podniósł słuchawkę.

- Gaby?!

- Hallie! To ty? O rany, jak się cieszę. Jesteś w Kalifornii? Wróciłaś?

Rozmawiały i rozmawiały, a kiedy wreszcie Hallie spojrzała na zegarek, była za kwadrans szósta. Nie do wiary! Przegadały półtorej godziny.

- Muszę kończyć. Za parę minut przyjdzie tu po mnie Paul - rzuciła nerwowo.

- Chwila. Posłuchaj. Obie przeorysze mówiły ci, że nie powinnaś jeszcze składać ślubów wieczystych, bo nie jesteś pewna powołania. Teraz znasz już prawdę o sobie.

- Nie mogę nic zrobić, póki Paul się nie opamięta.

- Och, Hallie. Jesteś najwspanialszą istotą, jaką znam. Zobaczysz, wszystko się ułoży. Dzwon do mnie. Czekam.



Hallie odłożyła słuchawkę i pobiegła do łazienki. Rozmowa z Gaby o niczym nie przesądziła, ale zdjęła z niej ciężar. To nie grzech kochać i przywiązywać się do ludzi! Zwłaszcza gdy ktoś wychował się w licznej rodzinie. Och, jak tęskniła za bliskością, czułością... Życie w zgromadzeniu zakonnym nie wydawało się jej już pociągające. Zawsze brakowałoby w nim bliskich, prywatnych kontaktów. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Zaangażowała się w posługę dominikańską, lecz pociągał ją świat ludzi świeckich. Gdyby było inaczej, szukałaby rady u przeoryszy, a nie telefonowałaby do przyjaciółki, która miała męża i dziecko.

Po spotkaniu w kościele z grupą młodzieży, której przedstawił ją ojciec Olivier, wracała z Pauliem do domu z uczuciem szalonej radości, że zaraz znów zobaczy Monique, dziadka, Vincenta... Zatopiona w myślach, nie od razu zorientowała się, gdzie przystanęli. Miała wrażenie déjà vu. Słońce chowało się za horyzont. Widok był cudowny, tak jak wtedy. Za kierownicą samochodu nie siedział jednak Vincent. Co więcej, wyczuwała zapach alkoholu. Czekając na nią, Paul pił. Czy dużo? I z kim? Czy sam? Nowy samochód nie wyciągnął go zatem z depresji. Przeciwnie - mógł ją nawet nasilić, gdyż to, czego chłopiec pragnął naprawdę, okazywało się nieosiągalne. Vincent powinien jak najszybciej dowiedzieć się o tym. Nie było go tu jednak, a Hallie nie była psychiatrą. Wszystko, co powiedziałyby teraz Paulowi, mogło się okazać niewłaściwe, ale chciała go jakoś udobruchać.

- Jeśli jest to twoje ukochane miejsce, to wcale ci się nie dziwię.

Powoli odwrócił do niej twarz. Miał zamknięte oczy.

- Nie moje, a ojca - odparł zaczepnym tonem - ale to już wiesz. Louis, nasz robotnik, pracował w winnicy, kiedy tu byliście. Widział wszystko i rozpowiedział naokoło, że tato ma dziewczynę.

Hallie znieruchomiała.

- Dobrze przynajmniej, że się nie wykręcasz. Na to jedno zawsze mogę liczyć. Na twoją absolutną uczciwość. - Położył rękę na oparciu i dotknął jej włosów. - Nakazałem tym durniom, żeby poskromili swoje domysły, bo jesteś zakonnica. Pozamykali gęby, ale co myślą, to myślą. Ja też.

Owinał wokół palców pasemko jej włosów i pociągnął za nie. Był rozgoryczony i zagniewany.

- Ty i tato kochaliście się, gdy przyszedłem do ciebie po południu. Domyśliłem się od razu, gdy mi otworzył. Stał w progu i wyglądał zupełnie jak ojciec Julesa po wyjściu z sypialni od żony. Widziałem go raz w takiej chwili... Ojciec gadał jak najęty. Wiedziałem, dlaczego. Dawał ci czas na ubranie się. Byłaś wtedy taka... taka ożywiona. Och, Hallie, niech to szlag... - Prawie się popłakał.

- Nie masz racji - powiedziała łagodnie. - Dobrze o tym wiesz. Jedyнным mężczyzną z rodu Rollandów, który choćby mnie pocałował, byłeś ty.

Paul usiadł prosto. Na jego twarzy malowały się zmieszanie i rozpacz. Czowała, że chciałby jej uwierzyć, ale przeważył gniew.

- Wyjedź... Po prostu zjedź mi z oczu i nigdy nie wracaj.

Miotał się jak zranione zwierzę. Widziała wielu rozsierzonych nastolatków, ale to był Paul - nieodrodny syn swego ojca. W chwili wzburzenia nie dałoby się z nim rozsądnie rozmawiać. Musiał ochłonać.

Zerknęła przez szybę. Zapadał zmrok. Znała drogę do domu, ale wolała nie zostawiać Paula samego. Byli nad rzeką. Gdyby rzucił się do wody... Vincent mówił, że jest tu głęboko i niebezpiecznie.

- Wiem, że chciałbyś teraz zostać sam— powiedziała. - Ale po pierwsze, mogłabym zgubić drogę, a po drugie - piłeś. Jeśli dużo, to nie powinieneś prowadzić samochodu.

- Parę kieliszków nikomu jeszcze nie zaszkodziło - warknął i wbił w nią wzrok. - Czy możesz przysiąc przed Bogiem, że nie spałaś z moim ojcem?

- Nie. - Przemogła ucisk w gardle. - Sam dobrze to wiesz. Przysięga nie jest konieczna.

- Wiem, co widziałem. Jeśli do tej pory się to nie stało, to jest to jedynie kwestia czasu.

- Mylisz się. - Nagle zrozumiała, co musi zrobić. - Bądź tak dobry i odwieź mnie do domu - poprosiła. - Spakuję się i natychmiast wyjeżdżam. Wieczorem przejeżdża przez St. Genes pociąg do Paryża. Szkoda, że piłeś, bo miałbyś okazję przejechać się swoim nowym samochodem aż do Clairmont, do opactwa.

Paul zmusił się do działania. Włączył silnik i ruszył. Nie odzywali się aż do samego domu.

- Poczekaj na mnie - rzuciła szybko. - Albo zresztą wejdź. Jak chcesz.

Spakowała się w pięć minut, wyjechała z szuflady pasz-

port i włożyła go do torebki. Gdy gotowa wróciła do Paula, stał w drzwiach.

- Żartujesz z tym wyjazdem. - Oparł się o framugę.  
- Chcesz mi dokopać za to, że byłem okrutny.

- Wcale nie. Nie przyjechałam tu po to, by skłócić rodzinę i wywołać bolesne dla ciebie plotki. Ty i Monique jesteście znów w domu. Moja misja dobiegła końca. Odwieszysz mnie na stację, czy mam poprosić o to twoją siostrę?

- Hallie... - Pokręcił głową. - Nie wyjeżdżaj, mówiłem od rzeczy.

- Wiem, wiem - uśmiechnęła się do niego, choć kroiło się jej serce z rozpacz. - Ale czas na mnie.

Wpakowała walizkę na tylne siedzenie, usiadła z przodu i czekała na Paula. Bezradnie patrzył na nią przekrwionymi oczami.

- Paul! - krzyknęła. - W imię łączącej nas przyjaźni, proszę cię, jedźmy już.

Przez całą drogę chłopcem wstrząsał szloch. Gdy na stacji pobiegła do kasy po bilet, wziął jej bagaż.

- Normalny - rzuciła kasjerce. - W jedną stronę.

Dotarli w samą porę. Pociąg do Paryża miał nadjechać dosłownie za chwilę. Do rana innego już nie było. Twarz Paula przypominała śmiertelną maskę.

- Gdyby ci na mnie zależało - zatoczył się lekko - nie postąpiłabyś w ten sposób.

Hallie zaczerpnęła powietrza.

- Kocham cię tak, jak kiedyś kochałam swego brata Johna.

Słyszała już dudnienie nadjeżdżającego pociągu.

- Wiem, że miałaś rodzinę, ale brata? - Paul znieruchomiał. - Nigdy o nim nie mówiłaś.

- Uwielbiałam go. Był ode mnie dwa lata starszy. Jesteś do niego pod wieloma względami podobny. Nie z urody, raczej z charakteru... To znaczy - byłeś...

- Nie rozumiem.

- Monique wszystko ci opowie. Chodzi o to, że przywiązałam się do ciebie tak mocno właśnie dlatego, że... Porozmawiaj z siostrą.

Musiała już wsiadać. Odebrała Paulowi swój bagaż.

- Kocham cię jak brata - powtórzyła, płacząc. - Kiedy spróbowałeś odebrać sobie życie, myślałam, że tego nie przeżyję. Czułam się tak, jakbym traciła brata po raz drugi. Proszę cię, pozwól ojcu sobie pomóc. Bardzo cię kocham. Ciebie, dziadka, Monique. Człowiek potrzebuje rodziny. Pamiętaj o tym. Żegnaj, kochany przyjacielu!

Pociąg ruszył. Paul zaczął biec przy wagonie, ale po chwili już go nie mógł dogonić. Hallie patrzyła na niego, aż stał się plamką w światłach oddalającej się stacji, a potem ekspres wjechał w ciemność.

Po biznesowym wieczorze w hotelu w St. Genes Vincent postanowił nie wracać od razu do domu. W miasteczku, w którym wszyscy się znali, plotka rozchodziła się szybko. Chcąc ukrócić szeptanki na temat jego zainteresowania osobą Hallie, zaprosił na dansing Madelaine Beguey, ładną rozwódkę, z którą się kiedyś umawiał. Miał nadzieję, że pokazując się z nią ponownie, usatysfakcjonuje ciekawskich. Do rana w winnicy

powinno aż huczeć od płotek. I świetnie! Gotów był zrobić wszystko, byle tylko uchronić Paula przed cierpieniem.

Omiótł światłami samochody swoich dzieci, stojące na dziedzińcu przed domem. Zazwyczaj też tu parkował, ale dziś kusiło go, by zajrzeć do Hallie. Może się jeszcze nie położyła... Zajechał więc za dom i kiedy zobaczył, że w saloniku u niej pali się światło, długi czas walczył ze sobą: zapukać czy nie zapukać. Oparł się wreszcie pokusie, lecz czując, że nie uśnie, poszedł prosto do swego biura. Zawsze było coś do roboty... Przerzucił marynarkę i krawat przez oparcie krzesła, rozpiął pod szyją koszulę i podwinął rękawy. Usiadł przy biurku i wziął list ze stosu korespondencji leżącej w koszyczku. Bardzo szybko zorientował się jednak, że nie jest w stanie na niczym się skupić. Jutro. Zasiada tu razem z Hallie. Skoro na nic innego nie mógł liczyć, będzie przynajmniej przebywać z nią w godzinach pracy.

- Tato...

Był już świt. Zaniepokojony głosem Monique o tak dziwnej porze, Vincent aż zadrżał. Podniósł głowę i zobaczył swoją córkę w nocnej koszuli. Łkając, rzuciła mu się na szyję.

- Hej, maleńka, co ci jest?

- Paul...

Vincent poczuł, że oblewa go zimny pot.

- Gdzie on jest?

- W swoim pokoju. Późnym wieczorem przyszedł do mnie. Wypytywał o rodzinę Hallie. Czuć było od niego alkohol. Myślałam, że wie o tamtej tragedii...

Bełkotał, że zrobił coś niewybaczalnego, a potem nagle wybiegł do siebie i zamknął się na klucz. Poszłam za nim, ale kazał mi się wynosić. Słyszałam, że płacze bez opamiętania, więc powiedziałam mu, że idę po ciebie. Zaklinał mnie, żebym cię nie wzywała, mówił, że nie wybaczysz mu tego, co zrobił. Chodźmy do niego!

Vincent dziękował Bogu, że nie dał się skusić i nie poszedł do Hallie. Narzucił marynarkę i wybiegł za Monique. Już na schodach usłyszeli szloch dochodzący z pokoju Paula.

- Synku... - Vincent zapukał. - Otwórz, musimy porozmawiać. No, otwieraj, bo będę zmuszony wyważyć drzwi.

Wreszcie zazgrzytał zamek. Paul wyglądał jak śmierć. Usiadł i zwiesił głowę. Wstrząsnął nim płacz.

- Nie ma takiej rzeczy, której nie można wybaczyć, jeśli się kogoś naprawdę kocha. - Ojciec pochylił się nad nim. - Słuchaj, nie wiem, dlaczego jesteś taki zdruzgotany, ale możesz mi powiedzieć wszystko.

Chłopiec powoli uniósł głowę.

- Jestem, tato, kłamcą.

- Witaj w klubie.

- Żartujesz, a to poważna sprawa.

- Wszystkie kłamstwa są poważną sprawą. Jak na przykład moje. Tyle lat ukrywałem prawdę o waszej mamie.

- Miałeś powód. Nie chciałeś, żebyśmy myśleli o niej źle. - Vincent nie wierzył własnym uszom. - A ja... ja postąpiłem podle. Oszukałem wszystkich. Nigdy nie zamierzałem popełnić samobójstwa.

Vincentowi z radości aż zakręciło się w głowie.

- Nie chciałem odebrać sobie życia. Byłem zdenerwowany i po prostu wpadłem pod tę ciężarówkę.

- Wiedziałam! - krzyknęła Monique. Nakłamałeś lekarzowi po to, żeby Hallie nie wyjechała z Francji.

Paul kiwnął głową i spłoszony zerknął na ojca.

- Chciałem, żebyś odcierpiał swoje za to, że mnie nie wysłuchałeś.

- To już bez znaczenia. - Vincent uściśnął syna, ale chłopiec wyrwał mu się.

- Jest jeszcze coś... Hallie wyjechała. Do Paryża. Przeze mnie.

- Tato! Co ci jest? - zawołała Monique. Zbladłeś, wyglądasz jak upiór.

- Nic, nic. To chyba z nadmiaru wrażeń. - Zachwiał się i przysiadł na łóżku. - Opowiedz, co się stało,

- Zabrałem ją na przejażdżkę i...

- I co?

- Oskarżyłem ją, że z tobą sypia... Wiedziałem, że to nieprawda, ale kiedy Louis zaczął rozpowiadać wszystkim, że widział cię z Hallie nad rzeką i że, no... wiesz, jak paskudnie i obrazowo potrafi gadać, zapadło to we mnie.

- I to jest powód wyjazdu Hallie? - Vincent silił się, by mówić spokojnie, lecz czuł się tak, jakby umierał.

- Nie. Powiedziałem jej, że jeśli nawet do niczego jeszcze między wami nie doszło, to i tak jest to jedynie kwestia czasu. Zażądałem, aby się wyniosła. Poprosiła, żebym odwiózł ją do domu, a potem na stację. Stwierdziła, że jej misja dobiegła końca. Już na peronie przy-



znała, że kocha mnie jak brata, tego, który zginął w katastrofie lotniczej. Że od początku jej go przypominalem. Potem zaklinała mnie, żebym nie odrzucał, tato, twojej pomocy. Oczywiście uważała i nadal uważa, że chciałem popełnić samobójstwo. Pociąg ruszył, nie zdążyłem powiedzieć jej prawdy. - Paul znów wybuchnął płaczem. - Wszystko zniszczyłem. Jak mogłem? Jak mogłem?

Vincentowi trudno było zebrać myśli, ale musiał pomóc synowi wydobyć się z rozpacz.

- I co teraz? - zapytał. - Co chcesz zrobić?

- Pojechałbym za nią, przeprosił. Rzecz w tym, że powiedziała, że będzie nieosiągalna.

Monique płakała rzewnymi łzami.

- To może wytłumacz się w liście —doradził ojciec.

- Prześlemy go do opactwa przez nocnego kuriera.

Ludzki ból nie ma granic. Vincent mógłby powiedzieć z całym przekonaniem, że życie odsłoniło przed nim pełną gamę cierpienia.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Masz się gdzie podziać?

- Tak, matko przełożona. Dopóki nie znajdę własnego kąta, mogę mieszkać u przyjaciółki z San Diego. Do jesieni jest jeszcze trochę czasu, więc postaram się o pracę w jakiejś szkole.

Matka Marie-Claire uśmiechnęła się.

- Zdarza się, że kobiety wstępują do zakonu, a potem odkrywają, że ich prawdziwe powołanie jest gdzie indziej. Cieszę się, że nie stałaś się jedną z nich. Jesteś mądra i dzielna. W porę poznałaś prawdę o sobie. Nie będziesz zakonnica, ale tak jak siostra Carlotta pozostaniesz zawsze kimś mocnym, niezależnie od tego, dokąd poprowadzi cię życie. Będziemy się za ciebie modliły.

Hallie podziękowała i wyszła. Na korytarzu podeszła do niej siostra z nowicjatu.

- Jest do ciebie poczta. Dwa listy polecane.

Hallie wetknęła je pod pachę i dziękując, wyszła z klasztoru. Zamierzała przejść się brzegiem Sekwany. Pomyślała, że to pewnie Gaby przesyła jej pozdrowienia i jakieś pieniądze na początek. Wspaniałomyślność była w jej stylu. Nie do wiary! Za dwie doby Hallie

miała po raz pierwszy w życiu wziąć na ręce córeczkę swojej przyjaciółki.

Znalazła wolną ławkę, usiadła i spojrzała na jedną z kopert. List z St. Genes! Zerknęła prędko na drugi. Miał stempel poczty w Pully - miasteczka, do którego pojechali z Vincentem na zakupy. Czy to on pisał do niej? Mocno zabiło jej serce. Odłożyła ten list na później i otworzyła pierwszy, jak się okazało, od Paula.

Popłakała się ze szczęścia, czytając o tym, że kłamał, utrzymując wszystkich w przekonaniu, iż chciał popełnić samobójstwo. „Pamiętaj - kończył - że masz młodszego brata, który zawsze cię będzie kochał”. Paul - wyszeptała wzruszona i mocno zacisnęła powieki. Jedna z jej modlitw została wysłuchana.

Rozedrgana, rozerwała drugą kopertę i... odczuła zawód. Zobaczyła jednostronicowy, napisany odręcznie liścik od Monique. Co za naiwność wierzyć, że mógł do niej napisać Vincent. Była spragniona wiadomości od jego córki, kochała ją, a jednak...

„Hallie - pisała Monique. - Przeczytałaś już na pewno list Paula i wiesz, jak okropnie wszystkich oszukał. Musisz wrócić! Nie twierdzą, że w przeciwnym razie mój brat się zabije. Obie już wiemy, że nic takiego się nie stanie. Znam go jednak lepiej niż ktokolwiek na świecie. Jeśli nie dasz mu możliwości okazania skruchy, przez całe życie będzie go zżerał wstyd za to, co zrobił. Rozmawiałam z ojcem Olivierem. Twierdzi, że pomoc człowiekowi, który zgrzeszył, jest może nawet ważniejsza dla osoby, którą skrzywdzono, niż dla krzywdzącej. Bez ciebie Paul nie będzie w stanie się

rozgrzeszyć. Chcesz mieć to na sumieniu, gdy wstąpisz do klasztoru?"

Hallie odłożyła list na ławkę i spojrzała przed siebie szklanym wzrokiem. Miała przed oczyma Monique - gniewną, tupiącą nogą. A zatem ta mała uparciucha wybrała się aż do ojca Oliviera. Zrobiła to z miłości do niej, z tęsknoty, z niepokodzenia się z faktami... Coś podpowiadało Hallie, że jeśli nie wróciłyby do St. Genes, choćby na kilka dni, zraniłyby tę dziewczynę bardzo głęboko i przysporzyła jej cierpienie, jakich nie doświadczał nawet Paul. A Vincent... Przeżył już tyle dramatów, że mógłby nimi obdzielić paru ludzi. Nie zasługiwał na kolejny.

Podniosła się, zabrała oba listy i poszła w stronę klasztoru. Musiała zatelefonować do Gaby, a potem odwołać lot i kupić bilet na pociąg.

Była 22.30, gdy znalazła się na stacji w St. Genes. Przed jedenastą taksówka dowiozła ją do majątku Rolandów. Samochody Paula i Monique stały na dziedzińcu.auta Vincenta nie było ani przed domem, ani na placyku z tyłu.

Klucz od domku zostawiła Paulowi, była więc zmuszona zająć do Bernarda i poprosić o zapasowy. Na szczęście gospodarz nie położył się jeszcze spać i usłużył jej bez komentarzy, mówiąc, że przyniesie zaraz świeże ręczniki.

W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Nawet lodówka była pełna. Hallie ogarnęło dziwne wrażenie, że wróciła do domu, choć przecież mieszkała tu niecałe dwa dni.

Nagle nabrała apetytu. Jeść! Postanowiła zrobić sobie omlet z szynką. Owoce, które kupili z Vincentem w Pully, wyglądały wciąż świeżo. Ugryzła gruszkę i jej cudownie słodki smak ożywił wspomnienie tamtego niezapomnianego popołudnia. Wiedziała, że to będzie najtrudniejsze - być znów obok Vincenta i tłumić w sobie potrzebę jego bliskości. Dla młodych Rollandów, a zwłaszcza dla Monique, musiała jednak to przeżyć.

- Hallie... - W progu stał Vincent. - Zobaczyłem, że pali się światło, więc zająrzałem... Wróciłaś?

- Tak.

Patrzył na nią jak ślepiec, który rozpoznaje dotykiem. Gdyby czuła na sobie jego ręce, efekt byłby ten sam. Zadrżały pod nią nogi.

- Na długo?

- Trudno powiedzieć.

Vincent nie wiedział o tym, ale ta decyzja należała do niego. Hallie umierała z tęsknoty.

- To dlaczego w ogóle przyjechałaś?

— Wejdz, zaraz ci wszystko opowiem.

Ledwie przestąpił próg, zjawił się Bernard z ręcznikami. Vincent wziął je i wszedł, zatraskując drzwi nogą. Rzucił ręczniki na krzesło, buńczucznie oparł ręce na biodrach i czekał. Żądał wyjaśnień. Nie miała mu za złe ani niecierpliwości, ani arogancji. Po tym, co przeżyli, nie mogła go winić za nic.

- Chwila, moment. Mam ci do pokazania coś, co wszystko wyjaśni. - Szybko przyniosła z sypialni listy, leżące w walizce na ubraniach. - Proszę, czytaj. Najpierw list od Paula, a potem od Monique.

Czekała podekscytowana. Nagle odrzucił głowę w tył.

- No nie! Kiedy moja córka stwierdziła, że jedzie do ojca Oliviera powiedzieć mu, że wezwano cię do Paryża w pilnej sprawie, nie miałem pojęcia, że powodują nią i inne zamiary. A to smarkuła! Zachowała się nieprzyzwoicie. Jak mogła tak zagrać na twoim sumieniu?! Cóż, widać nie znam jej tak dobrze, jak mi się wydawało.

- Nie złość się - poprosiła Hallie. - Potrzebowała pomocy, więc poszła do kogoś, komu ufa.

- Powinna była przyjść do mnie!

- Po co? Przecież wiedziała, że zakazałbyś jej mnie niepokoić... Posłuchaj, Vincencie. Muszę ci to powiedzieć. Monique jest wspaniałą obserwatorką, a ciebie zna od lat. Mało co uchodzi jej uwadze.

Ściągnięta twarz Vincenta złagodniała.

- Słucham cię pilnie.

- Ojciec Olivier miał rację. Mój powrót będzie dla Paula najlepszym dowodem na to, że mu wybaczyłam.

- Niekoniecznie, jeśli dowie się o liście Monique.

- W takim razie zniszczę oba.

Wyjęła listy z ręki Vincenta, przeszła do kuchni i sięgnęła po zapałki.

- Daj, ja to zrobię.

Kartki liznął płomień, zwinęły się i obróciły w popiół. Vincent splukał resztki do zlewu.

- Nie jesteś głodny? - zapytała, spuszczać wzrok, ogarnięta strachem, że zaraz od niej wyjdzie. - Przyszykowałam sobie omlet, ale jeszcze go nie tknęłam. Chcesz? Usmażę ci drugi.

- Nie, to znaczy tak, tyle że sam go sobie zrobię.

Wbił do garnuszka sześć jajek.

- Ho, ho, musisz być naprawdę głodny...

Jeśli nawet już jadł kolację z ukochaną kobietą, jak większość mężczyzn nie odmawiał posiłku. Myśl o tym, że jeszcze niedawno obejmowały go czyjeś czułe ramiona, dosłownie ją zabijała.

- Teraz tak.

Co chciał przez to powiedzieć? Czy to, że swoim powrotem wlała w niego chęć życia? Gdyby wiedział, co czuła! Jaka radość w niej buzuje!

Przenieśli talerze na stół.

- Skoro jesteś - rozpoczął - wróćmy do sytuacji wyjściowej. Póki wszystko nie ułoży się normalnie, Paul będzie się czuł niepewnie. Może więc po prostu przyjdź do mnie rano do biura, a ja wprowadzę cię w pracę.

- Myślę, że tak będzie najlepiej. - Była tak podniecona perspektywą spędzenia z Vincentem całego dnia, że ledwie radziła sobie ze sztućcami. Wypiła szybko sok z winogron. Nie lubiła alkoholu, więc Vincent zastąpił nim wino. Pamiętał nawet o takich drobnostkach... Och, z miłości kręciło się jej w głowie.

- Przy śniadaniu powiem Monique, żeby zawiadomiła ojca Oliviera, że będziesz mogła prowadzić kurs angielskiego.

- Zgoda. I poproszę ją o rower dla mnie.

- Możesz korzystać z mojego samochodu.

- Dziękuję, ale lubię ruch. Jako dziewczyna marzyłam o wielkiej przygodzie. Wyobrażałam sobie wtedy,

że pedałużę na rowerze po Francji. A teraz czuję się tak, jakby tamto moje marzenie się spełniało. Nie chciała-bym uronić z niego nawet chwileczki...

Vincent patrzył na nią w napięciu.

- Bo niedługo - dokończył ze złością - otoczy cię nędza jakiegoś kraju Trzeciego Świata, będziesz uczyć biedotę i walczyć bezskutecznie ze zzerającymi cię chorobami i brudem.

Hallie straciła panowanie nad sobą. Zamierzała przyznać się, że nie jedzie do Ameryki i nie zostanie zakonnicą. Szukała tylko odpowiedniego momentu. Moment ten właśnie nadszedł. Tyle że... nie chciała stwarzać w życiu Vincenta zamętu. Wiedziała, że mu się podoba. Oczy mężczyzny nie kłamią. Ale... Co by się stało, gdyby Vincent pomyślał, że rzuciła klasztor dla niego? Może gdyby przestała być w jego oczach zakazanym owocem, straciłby dla niej zainteresowanie? W ciągu tych osiemnastu lat niejednej kobiecie marzyła się zapewne rola kolejnej pani Rolland. Do tej pory żadnej się nie udało. A zatem odpowiadało mu chyba życie, jakie wiódł. Gdyby napisał do niej tak, jak zrobiły to jego dzieci. Gdyby przynajmniej spróbował skontaktować się z nią telefonicznie... Gdyby dał chociaż najmniejszy znak, że jest mu potrzebna, nie miałyby teraz tych wszystkich wątpliwości.

Była tak rozedrgana, że bała się, że jeśli mu powie, że wystąpiła ze zgromadzenia, nie wytrzyma i wyzna mu miłość. Jeśli nie odwzajemniał jej uczucia, doszczętnie by ją to rozbiło.

Vincent podniósł się od stołu.



- Pójdę już. Na pewno jesteś zmęczona po podróży.  
Dobranoc.

Pragnęła zawołać za nim, wyznać mu, co czuje, ale nie miała odwagi.

- Dziadku? Śpisz? - W pokoju było ciemno.

- Nie. Wejdz.

Leżał w łóżku i jak zawsze przed zaśnięciem słuchał radia. Beauregard spał w jego nogach. Uniósł łeb, szczerknął i znów się ułożył. Dziadek zapalił lampę. Vincent przyciągnął krzesło i usiadł przy łóżku, czując na sobie uważne spojrzenie mądrych oczu starego człowieka.

- Osiemnaście lat temu przyszedłeś do mnie tak jak dzisiaj, żeby mi powiedzieć, że Arlette chce się pozbyć ciąży. Szukałeś u mnie pomocy. Czuję, że teraz też tak jest. Tyle że dziś chodzi ci o Hallie Linn. Nie myślę się, prawda?

- Wróciła późną nocą. Na jak długo, nie wiem. -  
Opowiedział dziadkowi o listach.

- Niestety - odparł Maurice. - Nie ma na świecie prawnika, który mógłby powstrzymać kogoś przed wstąpieniem do klasztoru.

- Wiem o tym, nie sądzisz?! - wybuchnął Vincent. Wszystko w nim kipiało.

- Bądź przez chwilę cicho. - Powykręcane, zniszczone latami pracy palce starego farmera zacisnęły się na rękę wnuka. - Powiedziałem: Prawnik nic tu nie zdziała. Ale miłość - owszem. Ona jedna może wszystko. Jest silniejsza niż cierpienie.

Vincent ukrył twarz w dłoniach.

- Miłość do twoich dzieci przywiodła Hallie do nas po raz drugi. A jeśli jest tak, że ta dziewczyna kocha również ciebie? Uważasz, że to niemożliwe?

- Ale czy to wystarczy, by zrezygnowała z powołania? - Vincent zadygotał. - Nie ścierpiałbym, gdyby mnie odrzuciła.

- A co za różnica między taką ewentualnością a piekłem, w jakim żyjesz? Masz zamiar dać się do końca zniszczyć złu, które zasiała w twojej duszy Arlette? Pozbawisz się szansy prawdziwego szczęścia?

- To nie takie proste...

- Myślisz o Paulu.

Vincent poderwał się z krzesła tak gwałtownie, że zaniepokoił psa.

- Wyjaśniliśmy już sobie nasze nieporozumienia, ale jeżeli wydawało mu się, że...

- To idź do niego i powiedz, co czujesz.

- Nie podejmę takiego ryzyka.

Dziadek spojrział na niego ze smutkiem.

- W takim razie, wybaczone, ale nie mam tu już nic do roboty.

- Owszem, masz. Żyj i bądź ze mną.

Vincent wyszedł i skierował się prosto do gabinetu, w którym przyjmował interesantów. Etvige dbała, by w barku był zawsze dobry alkohol. Dziś był mu potrzebny. Choć upił się w życiu tylko raz - z radości na wiadomość o śmierci Arlette - i teraz chętnie zapomniałby się choć na parę godzin. Z butelką whisky zbiegł do swego pokoju. Pierwszą szklaneczkę wypił

haustem. Drugiej nie zdążył nawet podnieść do ust, gdyż do sypialni, bez pukania, wszedł Paul.

- Myślałem, że już śpisz - burknął Vincent, widząc, że chłopiec jest w dżinsach i podkoszulku.

- Spałbym, ale dziadek po kolacji poczuł się nienajlepiej i poszedł się położyć. Niepokoję się...

Vincent odstawił szklaneczkę.

- Właśnie u niego byłem. Rozmawialiśmy. Nie poskarżył się ani słowem.

- Wiem. - Paul wsunął dłonie do tylnych kieszeni spodni. - Okazuje się, że była to zwykła niestrawność. Etvige dała mu jakieś ziółka, nim wróciłeś z tego spotkania winiarzy... Przed kwadransem zaszedłem do niego, żeby wypuścić Beauregarda. No i... usłyszałem, jak rozmawiacie.

- Dlaczego więc nie dałeś znać, że jesteś?

Szyję i twarz Vincenta oblała czerwień. Zrobiło mu się gorąco nie tylko dlatego, że pił.

- Ponieważ potwierdziły się moje podejrzenia. To oczywiste, że od samego początku ty i Hallie walczyacie z wzajemnym zauroczeniem. Czułem to, ostrzegałem, ale nie chciałem w to uwierzyć, ponieważ to przecież ja znalazłem Hallie - dla siebie.

- Synu...

- W porządku, tato. Hallie widziała we mnie wyłącznie odbicie swego brata. Zakochałem się w niej jak ostatni baran, ale to już przeszłość. Właśnie to chcę ci powiedzieć. Tato, jeśli ona nie wstąpi do klasztoru, bądźcie ze sobą. Naprawdę do siebie pasujecie. Myślisz, że po co napisałem do niej ten list? Uważam, że

wróciła, bo nie może żyć bez ciebie. Więcej. Jestem tego pewien.

Nagle do pokoju weszła Monique. Vincent osłupiał. Ciekawe, jak długo podsłuchiwała pod drzwiami.

- Tato, ja też do niej napisałam. Mogła dostać ten list najwcześniej dziś rano. I co? Natychmiast wsiadła w pociąg. Gdybym była przełożoną zakonu, powiedziałabym Hallie wprost: Nie jesteś gotowa złożyć ślubów wieczystych, i nigdy nie będziesz.

Vincentowi szumiało w głowie. Zdumiewające. To, co się działo, było absolutnie zdumiewające. Upił się czy co? Jego własne dzieci udzielały mu pozwolenia na zabieganie o Hallie.

- Jesteście dla siebie stworzeni, tato.
- Zgadzam się - przytaknął siostrze Paul.

Vincent objął swoje dzieci ramionami i wyprowadził je na korytarz.

- Kocham was i doceniam wszystko, co powiedzieliście. Ale fakt pozostaje faktem. Hallie nie jest wolna i niezależnie od tego, jak wy to widzicie, może nie chcieć wolności z przyczyn, o jakich nie mamy pojęcia.

Monique utkwiała w ojcu spojrzenie.

- Ale porozmawiasz z nią i dowiesz się, co i jak?
- We właściwym czasie.
- Czyli kiedy? Zależy to wyłącznie od ciebie.
- Usłuchaj jej - doradził Paul bardziej ojcowskim niż synowskim tonem. - Monique wie, co mówi. Jeśli będziesz dłużej zwlekał, Hallie wyjedzie i stracisz ją na zawsze.

Wszyscy dawno pokładli się spać, jedynie Vincent myślał i myślał. Ostrzeżenie Paula wywołało w nim strach. Myśl o utracie Hallie była dla niego stanowczo nie do zniesienia.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hallie obudziła się o piątej rano. Do spotkania z Vincentem w biurze pozostały cztery godziny. Czas włókł się nieznośnie, postanowiła więc przejść się i porozmawiać z ojcem Ołivierem. Mógł mieć zastrzeżenia co do jej pracy z młodzieżą, gdyby wiedział, że zrezygnowała z wstąpienia do klasztoru. Nie miałyby o to do niego pretensji.

Spacer sprawił jej ogromną przyjemność. Oddychała przesyconym zapachem owoców powietrzem i marzyła, marzyła, marzyła... Gdyby Vincent ją kochał, gdyby mogła zostać jego żoną, mieć z nim dzieci... Doszła do kościoła nie wiedząc kiedy i z rozmyślań wyrwało ją dopiero głośne „dzień dobry!”. Odwróciła się od wrót i zobaczyła księdza. Z bagietką pod pachą i termosem w ręce szedł rażno w jej kierunku.

- Zapraszam na śniadanie.

Ugościł ją pieczywem i kawą. Jego zdaniem nikt nie parzył lepszej niż gospodyni na plebanii. Umoczył bagietkę w gorącej kawie i delektując się smakiem, odchylił głowę na oparcie krzesła.

- A teraz opowiadaj. W jakich to pilnych sprawach pojechałaś do Paryża?

Słuchał jej, spokojnie żując chleb. Nie przyznała mu

się tylko do jednego - że kocha Vincenta. Kiedy umilkła, ksiądz patrzył na nią przez moment, a potem uśmiechnął się ciepło.

- No cóż. Rozumiem, że postawiłaś w życiu na inne sprawy. Ale mojej trzódce pomóc musisz. To też istotny cel. Czekam na ciebie w środę o siódmej.

Hallie zapiekły oczy.

- Dziękuję, bardzo dziękuję ojcu. - Podniosła się od stołu. - Powinnam już wracać. Mam się uczyć nowej pracy, dopiero zaczynam praktykę i nie chciałabym się spóźnić.

Wyszli razem przed kościół i od razu zobaczyli Vincenta. Szedł od parkingu.

- Witaj! - zawołał do niego ksiądz. - Jeśli przyjechałaś po Hallie, to w samą porę. Jesteśmy już po rozmowie. Hallie obawiała się, że nie zgodzę się, by prowadziła u mnie kurs, skoro opuściła zakon. Niepotrzebnie się martwiła. Zawsze chętnie skorzystam z jej umiejętności.

Hallie usłyszała nagle, że Vincent wyszeptał jej imię. Rozbłyśły mu oczy. A zatem - wydało się. Nie mogła kręcić. Nie chciała.

- Zrezygnowałaś z życia zakonnego? - zapytał zduszonym głosem.

Kiwnęła głową.

- Chodźmy. - Pobiegła za Vincentem do samochodu. Skręcił i pojechał przez most. Wiedziała, dokąd ją wiezie. Pragnienie bliskości rozszalało się w niej z taką siłą, że bała się, iż nim dojadą na miejsce, po prostu wdrapie mu się na kolana.

Chwycił ją w ramiona, kiedy tylko samochód stanął na brzegu rzeki. Świat odpłynął, czas przestał się liczyć. Była to chwila, dla której się urodziła, na którą czekała.

- Kocham cię - szeptała, obsypując pocałunkami jego wargi, policzki, włosy.

- I ja ciebie. Zakochałem się bez pamięci. Pragnę cię, och... - Głos odmówił mu posłuszeństwa. - Jesteś moja, tylko moja.

- Tak. Dlatego wróciłam. Nie potrafię żyć bez ciebie. Ale... co mamy zrobić z Pauliem? Jak mu powiedzieć, że się kochamy? Nie wiem, nie wiem...

Zaskoczył ją śmiech Vincenta.

- Tak się rozпалиłem, że nie powiedziałem ci tego, co powinnaś wiedzieć.

- Czego mianowicie?

- Paul dał nam swoje błogosławieństwo. Wczoraj w nocy. Monique też. Moje dzieci chcą, żebyśmy - ja i ty - byli ze sobą.

Opowiedział jej o wydarzeniach z nocy.

- Och, Vincent. - Przytuliła się do niego. - W życiu nie byłam taka szczęśliwa. Kocham twoje dzieci. Zawsze było mi z nimi dobrze. A one kochają swego ojca. Nauczyły mnie podziwu dla ciebie i wystarczyło, że się poznaliśmy osobiście, i voila, jak mawia twoja córuchna, zakochałam się po same uszy.

- Potrzebowaliśmy cię wszyscy. Wszyscy. Nawet dziadek. Odmieniłaś jego życie bardziej, niż to sobie wyobrażasz. Drugiego lipca obchodzi urodziny. Czy mógłby to być dzień naszego ślubu? Wspanialszego prezentu nie mogliśmy mu zrobić. Pomagał mi przez



całe życie, borykał się z moimi problemami... Chciałbym ofiarować mu na starość spokój. Żeby wreszcie nie musiał drżeć o mnie, dzieci, o winnicę. Moje małżeństwo z tobą byłoby dla niego jakimś zadośćuczynieniem, prawdziwym ukojeniem.

- Pięknie to powiedziałaś. - Hallie uśmiechnęła się przez łzy. - I ja tego chcę. Być twoją żoną, urodzić ci jeszcze dzieci.

Obsypał jej twarz pocałunkami.

- Pomyślę o tym.

RS

## EPILOG

### *Majątek rodziny Rollandów* *2 lipca, dwa lata później*

Hallie usłyszała grymaszenie córeczki, zanim jeszcze Anne-Marie, kuzynka Minou, zapukała do małżeńskiej sypialni.

- Przepraszam, ale Catherine nie chce się położyć, póki mamusia nie pocałuje jej na dobranoc.

Hallie uperfumowała się leciutko.

- Już idę.

Za chwilę mieli się pojawić goście. Dziadek Maurice obchodził dziewięćdziesiąte urodziny, a Hallie i Vincent świętowali drugą rocznicę ślubu.

Vincent był już gotów i z Maksem Calderem, mężem Gaby, zszedł do dziadka, nim miało się zacząć prawdziwe urwanie głowy. Hallie drżała jeszcze od pocałunków męża. Wciągnęła na siebie czarną sukienkę z krótkimi rękawkami i okrągłym dekolcikiem. Sukienka miała prosty krój, lecz Monique, w której towarzystwie ją kupowała, stwierdziła, że wygląda w niej rewelacyjnie.

- Tato padnie, jak cię w niej zobaczy. - Dziewczyna użyła zwykłego kolokwializmu, lecz Hallie aż się zaczerwieniła.

- W takim razie - nie biorę jej. Nie chcę, żeby mu się coś stało. Ma żyć zawsze, wiecznie. Rozumiesz? Ja go kocham!

- Spoko. - Monique spojrzała na nią w swój charakterystyczny ostry sposób. - Wszyscy to wiedzą.

- Aż tak ze mną źle?

Jej dwudziestoletnia pasierbica uśmiechnęła się szeroko.

- Gorzej niż źle. Na widok mojego tatki oczy ci się robią jak talarki i spadają ci skarpetki. Żaden facet w całej Francji nie ma tak zakochanej żony. Obawiam się, że zwariuje. - Uścisnęła Hallie i szepnęła: - Tato bardzo potrzebuje twojej miłości. Nie myślałam, że może być aż taki szczęśliwy. Codziennie, gdy wieczorem odmawiam pacierz, dziękuję za ciebie Bogu.

- A ja za ciebie i za całą rodzinę. Ale to chyba nie twojemu ojcu, a mnie rzuciło się na mózg.

Życie stało się jak fantastyczny sen. Modliła się, by nigdy nie musiała się z niego obudzić.

Przeczeswała kręjące się włosy, które nosiła teraz dłuższe niż dawniej, i wyszła na korytarz. Małeńka Catherine poczępała do niej, uniosła rączki i objęła ją za szyję. Nigdy dotąd nie była taka zaborcza, toteż jej mama i opiekunka roześmiały się głośno. Opierając dziewczynkę na biodrze, Hallie przeszła szybko do pokoiku, z którego dobiegały protesty synka, Jeana-Marca. Jasnowłose bliźnięta, którym nadali imiona po ojcu Vincenta i jej matce, wyczuwały napięcie towarzyszące przygotowaniom do przyjęcia i były dziś wyjątkowo niesforne.

Na widok synka bezradnie stojącego w łóżeczku i zalewającego się krokodylimi łzami Hallie ogarnęła ogromna czułość.

- Cichutko, syneczku. Mamusia już jest. - Pocałowała go w czubek głowy i włożyła Catherine do jej łóżeczka, co wywołało nowe protesty i łzy.

- Przepraszam, że muszę cię tak zostawić - Hallie zwróciła się do niani. - Włączę im ulubioną melodyjkę. Zaraz się uspokoją. Zgaś tylko światło i posiedź przy nich kilka minut.

W chwilach takich jak ta Hallie przepełniał prawdziwy podziw dla Vincenta. Swoje pierwsze dzieci musiał wychować sam. Mógł liczyć na pomoc dziadka, ale było mu na pewno niełatwo. Myśląc o tym, uzmysławiała sobie mocniej niż kiedykolwiek, jak niezwykłym mężczyzną jest człowiek, za którego wyszła. Niezwykłym i cudownym pod każdym względem. Nigdy nie mogłaby przestać go kochać.

Rzuciła okiem na swojej skarby i pobiegła do Maksa i Gaby.

Max szalał za żoną i córeczką. Od przyjazdu do St. Genes chodził dumny jak paw, gdyż we wrześnie miał zostać tatusiem po raz drugi. Z ich pokoju dobiegał płacz małej Hallie. Gaby wyszła na korytarz z lekko przerażoną miną.

- Biedna Minou. Nie wiem, czy mała w ogóle się uspokoi. Max był z nimi, ale zabrał go Vincent.

- Nie przejmuj się. Minou i Anne-Marie umieją zajmować się maluchami. A gdyby co - któraś z nich nas zawoła.

- Masz rację. - Gaby odetchnęła i popatrzyła na przyjaciółkę. - Pamiętasz te czasy w San Diego, gdy pracowałyśmy w restauracji? Raz dla żartu przebrałyśmy się za zakonnice. Ja nie miałam nic wspólnego z zakonem, ale ty... W pożyczonym z klasztoru habicie wyglądałaś naprawdę anielsko, za to dziś... promieniejesz. Dokonałaś właściwego wyboru, Hallie.

- Wiem. Noszę tamte doświadczenia w sercu, nie zapomnę nigdy moich dominikanek, jednak niczego nie żałuję. Jak powiedział kiedyś dziadek Maurice, kobieta i mężczyzna stwarzający dobrą rodzinę wykonują boże dzieło.

- Miał słuszność.

- Gdybym nie spotkała Vincenta....

- Ale spotkałaś, tak jak ja Maksa. Czasami jestem taka szczęśliwa, że aż się boję.

- Nie jesteś w tym osamotniona. - Hallie zadrżał głos.

Gdy weszły do salonu, trzech wysocy mężczyźni w ciemnych smokingach zwrócili się w ich stronę i umilkli.

Dziadek uśmiechnął się do Hallie.

- Kiedy moja piękna żona wchodziła do pokoju, też, tak jak wy teraz, ściągała męskie spojrzenia. Vincent i Mas to szczęściarze. Nawet Beauregard tak uważa - dodał, gdy pies zaczął je obskakiwać.

- Dziękuję - powiedziała Hallie, rozogniona wzrokiem męża. Podał jej rękę.

- Strasznie mi się podobasz - szepnął w jej włosy.

- Mam nadzieję, że powiesz mi to również wtedy, gdy będziesz w wieku dziadka.

Przystojną twarz Vincenta opromieniała miłość.

- Zawsze będę cię kochał, zawsze.

Pocałowała go w same usta, gorąco, namiętnie.

- Co tu się dzieje?

Ostry dźwięk głosu był jak deja vu. W tamten namiętny czwartek.

- Paul - krzyknęła Hallie, uświadamiając sobie, że poza nią i Vincentem w pokoju nie ma już nikogo.

Chłopiec przyszedł w towarzystwie dziewczyny, której jeszcze nie widziała. Urodziwa brunetka wyglądała na nieco onieśmieloną, co w opinii Hallie było dobrym znakiem. Paul przedstawił Brigitte, mówiąc, że chodzili razem w Bordeaux na zajęcia z chemii, a zaraz potem pojawiła się Monique ze swoim chłopcem.

- Nie uważacie, że pomysł Paula jest super? - zapytała.

Vincent objął mocno żonę.

- Jaki pomysł?

- Podjąłem, tato, decyzję. Idę na medycynę.

Hallie mogła sobie tylko wyobrażać, jaką radość odczuł Vincent. Raz, że o medycynie marzył kiedyś sam. a dwa, że ta decyzja oznaczała, że chłopiec naprawdę ruszał nowym szlakiem.

Monique stanęła u boku Hallie.

- Ja... ja też mam coś, co chciałabym wam powiedzieć. Od września zaczynam studiować zarządzanie. Chcę ci kiedyś pomóc prowadzić naszą firmę.

Vincent objął córkę i bardzo wzruszony poszukał wzrokiem Hallie. Miała wrażenie, że wróciły do niego wspomnienia wszystkich traumatycznych zdarzeń, kto-

re zapoczątkował pewien feralny wieczór w jego paryskim mieszkaniu.

- Attention tout le monde! - zawołała przez próg Etvige. - Przyszli Luc z Suzette. Proszą was.

- Idziemy.

Vincent przytulił Hallie.

- Tego wieczoru, gdy wiozłem Monique do Paula do szpitala, powiedziała mi, że jesteś kimś wspaniałym. Że gdybym cię znał, myślałbym tak samo. Miała rację. Jesteś niezwykła. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

- Właśnie to samo powiedziałam Gaby o tobie.

- Więc trwaj przy mnie i nigdy mnie nie opuść.

- Nigdy.

Tę obietnicę wiozła w sercu już tego dnia, gdy wsiadła do pociągu do St. Genes. Przyjechała do przepięknego świata winnic będącego dla niej rajem i do mężczyzny, z którym miłość związała ją na całą wieczność.